

Vancomycin



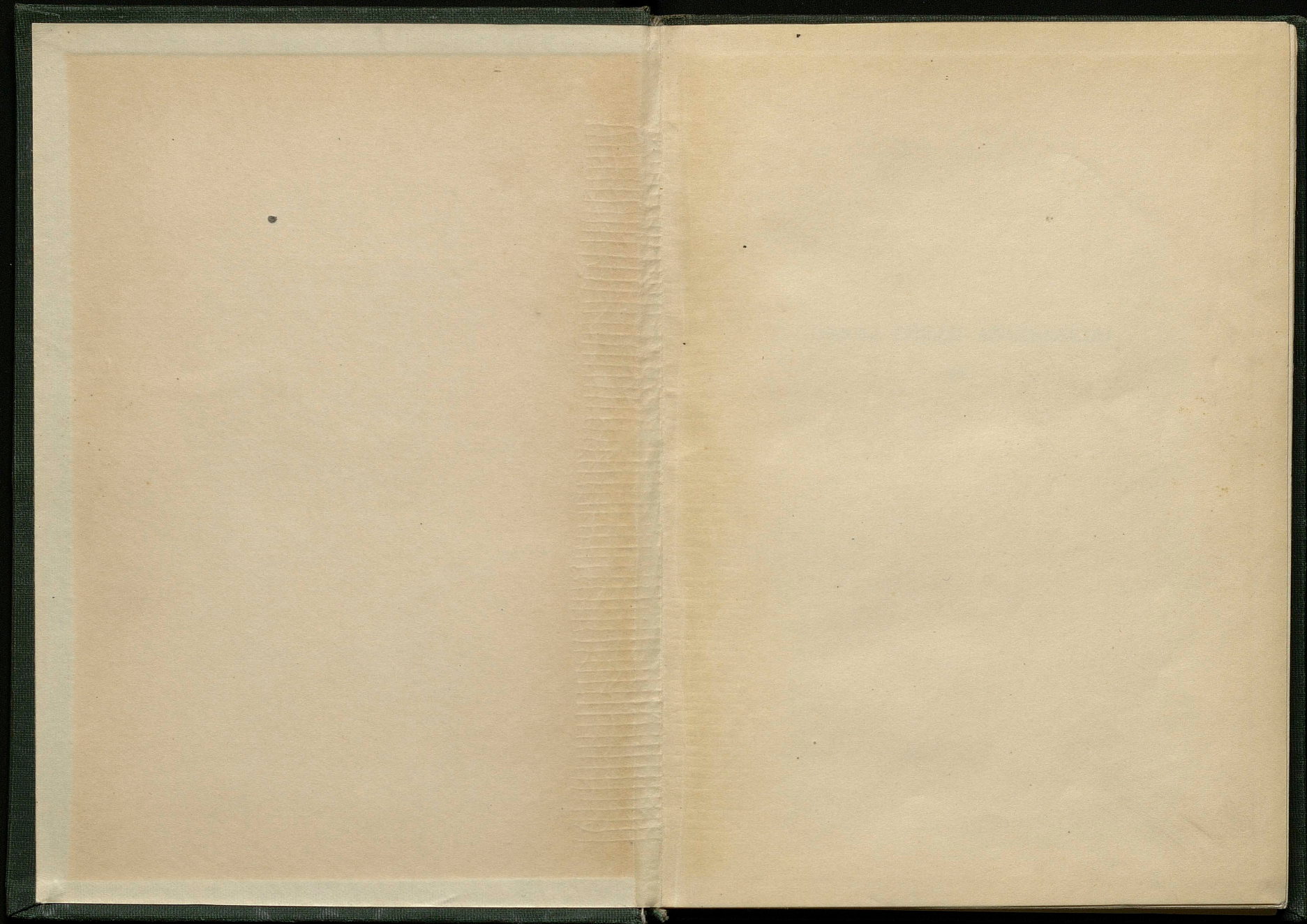
Kaspro
wicz

Mr. Poeta



IV-V





OBRAZ POEZJI ANGIELSKIEJ

IV.

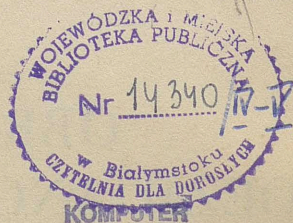
OBRAZ
POEZJI ANGIELSKIEJ

Z ORYGIN. ANG.

ZEBRAŁ, PRZEŁOŻYŁ
I NOTATKAMI BIOGRAFICZNYMI OPATRZYŁ

JAN KASPROWICZ

WYDAŁ Z RĘKOPISU WOJCIECH MEISELS
KRAKÓW — 1931



821.M-1(082.2)

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

W A L T E R S C O T T

KOŁYSANKA RYCERSKA.

Śpij, dziecię! Twój ojciec rycerski był pan,
Twa matka matroną — z zacności ród znan;
Od zamku tych wrótni, jak spojrzeć li w krąg,
Dziedzicem ty jesteś tych lasów, tych łąk.
O ho ro, i ri ri, kadul gu lo!
O ho ro, i ri ri, kadul gu lo!

Nie lękaj się rogu, choć głośny to róg,
On stróżów li wzywa twych snów, twoich dróg:
Naciagną swe łuki, zrumienią miecz swój,
Do twojej kolebki nie dorwie się zbój.
O ho ro, i ri ri, kadul gu lo!
O ho ro, i ri ri, kadul gu lo!

Śpij, dziecię, niedługo nadejdzie czas ten,
Gdy surma i bęben już przerwą twój sen!
Więc śpijże, mój luby, dopóki śpisz rad,
Dzień walki cię zbudzi, gdy dojdiesz do lat.
O ho ro, i ri ri, kadul gu lo!
O ho ro, i ri ri, kadul gu lo!

PIEŚŃ WOJENNA DONALDA DHU.

Donuilda Dhu gromki śpiew,
Ten śpiew rycerny:

Zleć się na jego zew,
Konuilu wierny!
Czuj duch, ty kłanie, czuj!
Słuchaj: grzmią rogi,
Wojenny wdziej-mi strój,
Narodzie mnogi!

Od skalnych pędź tu ścian,
Rzuć jar głęboki,
Bitewny już gwizdże tan
Gwizd w Inwerloki.
Chodź z sercem, weź górski szal,
Co je okrywa;
Niech miecza pochwyci stal
Twa ręka żywa.

Stad licznych zostaw tłok
Po za ochroną;
W grób drogich nie kładź zwłok,
Rzuć narzeczoną!
Spiesz się, spiesz, czem ci zwierz,
Łodzie i sieci?
Tarcz i miecz to twa rzecz,
Strój męźnych dzieci.

Dalej, jak wichr co bór
Z gruntu wywala,
Lub jak te statki na wtór
Miażdżąca fala!
Chodźcie już, chodźcie już,
Chodźcie w te tany,
Rycerz, chłop, giermek, stróż,
Pan i poddany.

Idą już, idą już!
Zastęp przemnogi!
Orlich piór wszierz i wzdłuż
Pełne rozłogi!
Odrzuć szal, podnieś stal!
Ze mną na przedzie!
Pieśnią swą Donuil Dhu
W bój cię powiedzie.

MIŁOŚĆ CAŁYM RZĄDZI ŚWIATEM.

(Z poematu „Pieśń Ostatniego Minstrela“)

Była Angielka pięknicola,
(Karlit się w słońcu lśni bogatem),
Chciała szkockiego wziąć szlachcica,
Bo miłość całym rządzi światem.

W oczach ich płoną złote jaśnie,
Gdy Karlit w słońcu lśni bogatem;
Lecz mrok ich zdjął, nim dzień zgaśnie,
Choć miłość całym rządzi światem.

Ojciec kosztowne dał klejnoty,
Gdzie Karlit w słońcu lśni bogatem,
Brat kubek wina ze zgryzoty,
Że miłość całym rządzi światem.

Widział jej sady, łąki, łany,
Gdzie Karlit w słońcu lśni bogatem,
Śmierć jej poprzysiągł, zagniewany,
Iż Szkot zarządzać ma jej światem.

Ledwie się wina dotknie ona,
Gdzie Karlit w słońcu lśni bogatem,

W kochanka cnych ramionach skona,
Bo miłość całym rządzi światem.

On w bracie miecz zatopił srogi,
Gdzie Karlit w słońcu lśni bogatem:
Tak niech miłości giną wrogi,
By miłość wciąż rządziła światem.

Lecz z krzyżem świętym po tym czynie
Gdzie Karlit w słońcu lśni bogatem,
Ruszył, by zginąć w Palestynie:
Tak miłość całym rządzi światem.

Teraz się módlcie, szczerzy, prości,
(Karlit się w słońcu lśni bogatem)
Za tych co ginąć chcą z miłości,
By miłość wciąż rządziła światem.

OJCZYŻNA.

(Z poematu: „Pieśń Ostatniego Minstrela“)

Żyje gdzie człek tak martwej duszy,
Że go Ojczyzna nie poruszy?
Że nie zawoła: „To rodzony
Kraj mój“? Że serce mu nie płonie,
Gdy na rodzinnym swym zagonie
Stanął rzuciwszy cudze strony?
Jeśli gdzie żyje dusza taka,
Nie dla niej będzie pieśń śpiewaka!
Wszelkie tytuły tego człeka,
Dumne nazwisko, bogactw rzeka,
Ogromna władza, skarb bez granic,
To wszystko będzie całkiem na nic,

Jeżeli tem samolub włada.
Nędzarz, swe imię wnet postrada,
Umrze podwójnie, prochem będzie,
Z którego powstał na obrzędzie
Nikt mu pogrzebnym nie zanuci,
Żaden się k'niemu żal nie zwróci.

O Kaledonjo, groźna, dzika,
Ty matko piewcy-pacholika,
Ty kraju rzek i gór i wrzosów,
Kraju mych ojców!... Od twych losów
Któż mnie oderwie? Czyż ręce
Stargają węzły te dziecięce,
Co tak mnie łączą z twemi brzegi.
Dziś, gdy rozważam spraw szeregi
Dobrze mi znanych, kiedy o tem
Myślę, co było, a z powrotem
Już mnie nie spotka, mymi druhy
Są li twe rzeki, bór twój głuchy:
Najbardziej je też kocham, zda się,
W zła największego gorzkim czasie...
Niech nad Yarrovu rzeką chodzę,
Choć opuściły mnie tu wodze;
Niech mnie Ettriku wiew ogarnie,
Choć lica moje zwiędły marnie;
Niech u Tewiotu spoczne Ściany!
Choć bard tu jestem zapomniany,
Tutaj chcę wydać dech znękany.

ROZABELLA.

(Z poematu „Pieśń Ostatniego Minstrela“)

O, posłuchajcie, piękne damy!
Nie o rycerskich czynach dzieli

Z wami się pieśń ma; śpiewać mamy
O smutnym losie Rozabelli.

„Do cum, do cum, żeglarze mili!
Ty, Pani ma, nie zwlekaj dłużej!
W „Kruczem się Gnieździe“ schroń tej chwili
I nie chciej dziś już kusić burzy.

„Grzebień fal już całe w bieli,
Mewy na skały mkną z rozpaczey,
Rybacy Ducha Wód słyszeli,
A to rozbitcie statków znaczy.

„Wróż nasz ostatnią widział nocą
Zmoczone żgło na pięknej pani,
Poco dziś walczyć z fal złą mocą,
Więc do bezpiecznej idź przystani!“

„Nie, że lord Lindsay o tej porze
Urządza bale sam w Roslinie,
Jeno, że matka ma nieboże
Ze samotności w zamku ginie.

„Nie, że gonitwy jest godzina,
A Lindsay jeździ, jak nie wiele,
Jeno, że ojciec nie tknie wina,
Gdy mu nie poda Rozabella“.

Ponad Roslinem noc się pali:
Światłość, nad zamkiem gorejąca,
Szersza od wiatry w górskiej hali,
Stokroć czerwiejsza od miesiąca.

Żar nad Roslinem ponad żary
Zrozumiał w okrag leśnie zręby:
Hawthorndzkie widzą go pieczary,
Drydenskiej puszczy widzą dęby.

Kościół zamkowy cały w lunie,
Roslińskich grób to jest rycerzy:
Każdy z baronów miast w całunie,
W zbroi, bez trumny, tutaj leży.

Snać wszystko pali się dokoła,
Zakrystja, ołtarz w ognach płonie,
Kolumn liściaste płoną czoła,
Umarłych wojów płoną bronie!

Goreją blanki i wierzeje,
W rozety arkad strojne mury:
Tak się to zawsze tutaj dzieje,
Gdy ma z Saint Clairów umrzeć który.

Dwudziestu panów na Roslinie
Jest pogrzebionych w tym kościele,
Morze ma tylko w swej głębinie
Umiłowaną Rozabellę.

Gromnice, dzwony, psalmów tony
Wszyscy z Saint Clairów zmarłych mieli;
Jęk li ponury wód i wichury
To pogrzeb był lubej Rozabelli.

WILLIAM WORDSWORTH

MARZEC.

Koguty pieją,
Rzeki się leją,
Ptaki świergocą,
Stawy się złocą,
W słońcu zielonem śpią łany.
Młody i stary
W pracy bez miary,
Stado się pasie,
Ni spojrzysz na się,
W karmi się gubiąc dobranej.

Jak huf pobity,
Znikł śnieg obfity,
Na nagim szczycie
Liche ma życie!
Oracz: „A wiśta, bułany!”
Wierzby się cieszą,
Rzeki się spieszą,
Obłoki lecą,
Nieba się świecą,
Nie pada już deszcz wyczerpany.

DO KUKUŁKI.

Drogi przybyszu, znam cię znać
I cieszę się tym losem;
Czy cię, kukułko, ptakiem zwać,
Czy też wędrownym głosem.

Gdym dla spoczynku w trawie legł,
Słyszałem twe kukanie,
Z wzgórza na wzgórze głos twój biegł,
To płynie, to znów stanie.

Chociaż w dolinie lubisz pleść
O kwiatach i o słońcu,
Tajemną niesiesz dla mnie wieść,
Ty marzycielstwa gońcu.

Pieszczochu wiosny, witaj mi!
Nie jesteś dla mnie ptakiem,
Tylko czemś, o czym człowiek śni,
Głosem, tajemnym znakiem.

W moich chłopięcych, szkolnych dniach
Jam nadśluchiwał ciebie,
Krzyk twój mnie wodził gdzieś po krzaczach,
Po lasach i po niebie.

Aby cię znaleźć, szedłem w bór,
Na łąki i na łany;
Miłości mej, mych tęsknot twór,
Przenigdy nie widziany!

I dzisiaj słucham ciebie rad,
Rad kładę się na trawie,
Czy złote chwile dawnych lat
Powrócą, tem się bawię.

O szczęśny ptaku! Glob nasz, on,
Te naszych stóp przegony,

Śnać bezistotny jest to schron,
Dla ciebie jak stworzony.

SAMOTNA ŻNIWIARKA.

O popatrz: dziewczę to na łanie,
Samotne wśród tej górskiej hali:
Ze sierpem w ręku, to przystanie,
To śpiewający idzie dalej.
Sama tnie zboże, sama zbierze,
Na smętny ton zawodzi szczerze,
Głębię doliny, gdy tak śpiewa,
Swoją melodiją wskroś zalewa.

Nawet i słowik w żadnym razie
Takiej radości nie uczyni
Strudzonej rzeszy gdzieś w oazie,
W arabskich piaskach, na pustyni
Takich zawodzeń, takich trel
Ani kukułka nie udzieli,
Gdy ciszę w wiosny rwie godzinie
Gdzieś na hebrydzkich mórach głębinie.

Co znaczył ton ów żałośliwy?
Co ona śpiewa, któż mi rzecze?
Może to jakieś dawne dziwy,
Echa bitw — znało je przedwieczel?
A może to jest zwykła nuta,
Ze spraw codziennych pieśń wysnuta,
Ze zwykłych trosk i strat? Orędzie
Bołu, co był i znowu będzie?

Lecz jaka była treść jej śpiewu,
Śnać go nie skończy nigdy ona,

Nuciła wciąż przy swojej pracy,
Nad żniwnym sierpem nachylona.
Słucham, śnać nigdy mnie nie znuży!
A kiedym odszedł do swych wzgórz,
W sercu mem pieśń ta jeszcze brzmiała,
Choć ona śpiewać już przestała.

STANOWCZOŚĆ I NIEZAWISŁOŚĆ.

(Zbieracz pijawek)

Dziś przez noc całą szalały wichury
I deszcz się w ciężkie przemienił ulewy;
Lecz teraz słońce zabłysło u góry,
Ptactwo poczęło nucić między drzewy;
Grzywacz nad swemi przemyśliwa śpiewy,
Sójka skrzeczącej odpowiada sroce,
Powietrze napętniają szumem rzeki moce.

Kto kocha słońce, rzuca dom; niebiosy
Wielce raduje młody dzionek błogi;
Trawy naokół pełne świeżej rosy;
Po polu pędzi zajęć szybkonogi
I mgła, rzuciwszy swoje błotne drogi
I promienie w rannych blaskach słońca,
Ucieka, gdzie, nie wiedzieć, bez ładu i końca.

Po trzęsawiskach chodziłem tej pory,
Zającam widział, jak pędził wśród niwy,
Szum wód słyszałem i dalekie bory,
Lub nie słyszałem, jak chłopiec szczęśliwy;
Serce me wiosny weseliły dziwy,
Zapominałem o wszystkim, co boli,
O płonących drogach ludzkich, pełnych melancholji.

Ale jak czasem zdarza się, że siła
Naszej radości, ponadmiar wezbrana,
Tem niżej spada, im wyżej się wzbila,
Tak też i w duszy mojej tego rana
Rodzi się nagle jakaś przykra zmiana:
Naszły mnie smutki i ciężkie widziadła
I troska mnie ponura od razu opadła.

Skowronka-m słyszał na niebieskim stropie
I wspominając zajacą, myślałem,
Żem jest na ziemi jak szczęśliwe chłopię
W zadowolonym tem stworzeniu całym,
Że nie masz z światem nic i trosk nawiałem,
A oto na mnie pod rozterki wodzą
Dni smutne z przygnębieniem i troską przychodzą.

Jam całe życie swoje przeżył miło,
Jak gdyby życie było samem latem,
Jak gdyby wszystko bez trosk się rodziło,
Samo ze siebie, w tworzeniu bogatem;
Lecz jakże mógłby On poprzestać na tem,
By ktoś dlań tworzył, wielce go miłował,
A swemi zaś sprawami sam się nie zajmował.

O tej bezsennej duszy, Chattertonie,
Myślę, o dziecku cudownem, co padło
Przez swoją dumę, o nim, na zagonie
Chwały z radością pchającym swe radło;
Nas piewców, własne ubóstwa zwierciadło
Rozpoczynamy w młodzieńczej radości,
A w końcu szal i rozpacz przychodzą k'nam w gości.

Wtem, jakby w dowód osobliwej łaski,
Jakiś przewodnik spłynął ku mnie z góry:
Skoro z myślami popadłem w niesnaski,
W miejscu samotnem, gdzie był staw ponury,
Od oczu nieba zdala, poniektóry
Stanął przedemną mąż — o dziwne losy —,
Najstarszy z tych, co kiedy siwe mieli włosy.

Jak głaz potężny, mający swą leżę
Na szczycie góry wysokiej, zdumienie
I dziw dla oka, które go spostrzeże,
Bo nie wiadomo, jak on na tej ścienie
Skalnej się zjawił i skąd, jakby tchnienie
Miał w sobie żywe, albo jak stwór morza
Co z fal wypełził ku słońcu na piachu rozłoża:

Takim był mąż ten, ni żywy, ni zmarły,
Ni też uśpiony: w swoich lat nadmiarze
Podwójnie zgiętą miał postać, śnać zwarły
Nogi się z głową, jakby z życiem w parze
Szły w tej pielgrzymce jakieś troski wraże,
Jakiś cierpienia, stokroć cięższe zgoła
Niż ciężar, który człowiek udźwignąć wydola.

On sam z tą bladą twarzą, z ciała znojem
Stał tu na długim oparty kosturze;
A gdym z godziwym zbliżył się spokojem
Nad brzeg bagniska, nieruchomej chmurze
Było podobne to zjawisko: burze
Mogą przejść głośnie, on ich nie usłyszysz,
Śnać nic już nie zakłóci jego wewnętrznej ciszy.

W końcu się ruszył i kostur drewniany
Zapurzył w bagnie i patrząc w tę nędzę



Stawu, na jego od laski przemiany,
Jak gdyby czytał w nich, by w jakiej księdze.
I ja się w dziwnej śmiałości rozpędzę
I zwrócon k'niemu rzeknę, zuch nielada:
„Ten ranek snąć wspaniały dzień nam zapowiada.“

Grzeczną odpowiedź dał mi człek wiekowy,
Spokojnie cedząc jedno drugie zdanie:
I ja dalszemi zapytam się słowy:
„Jakie zajęcie masz tu, drogi panie?
Nie są dla ciebie te puste przystanie“.
Zanim mi odrzekł, z żywych ocz orbity
Wytryśnie blask zdumienia, w łagodność spowity.

Słowa spokojnie płynęły mu z łona,
Ale jak gdyby w uroczystej składni,
Miara ich lotna, przecież rozważona,
Jakiej używać nie umieją żadni
Prości ludkowie, w słowach nieporadni,
Mowa poważna mężów szkockiej ziemi,
Co Boga i człowieka darzą służby swemi.

Prawił, że do tej przychodzi on wody
Zbierać pijawki, jako że jest stary
I niezamożny, jeno że przeszkody.
Ma w tem zajęciu, trudnem nie do wiary,
Tak te błotniste przemierza opary
Lecz dzięki Bogu, tak mu się to plecie,
Że jakieś utrzymanie ma stąd na tym świecie.

I stał ten człowiek ciągle przy mym boku,
Lecz już od zdania-m nie odróżniał zdania,

Wydały mi się jak szumy potoku,
A cała postać tak mi się wylania
Jak gdyby ze snu, snąć nie do poznania,
Lub jak wysłannik, co przyszedł z daleka,
By dać mi upomnienie i siłę człowieka.

Wtem znów zabójcza wróciła mi trwoga
I ta nadzieja wciąż nienasycona,
Chłód, ból i ciężar i troska złowroga,
I, że niejeden wieszcz w niewoli kona.
Przerażon, z żądzą pociechy wśród łona,
Ponawiam swoje pytanie: „Mów człeczce,
Co robisz, jak się droga twego życia wlecze?“

A on z uśmiechem odpowie mi na to,
Że wciąż pijawki łowi w swej podróży,
Że jest zajęty niemi całe lato,
Że swemi stopy grzęźnie wśród kałuży,
Aby ich szukać: Dawniej polów duży
Miałem ich zawsze, lecz od pewnej doby
Jak mogę, tak ich szukam na różne sposoby!

Gdy on to mówił, wszystko mnie poruszy,
Ta postać starca i te jego słowa;
Zdawało mi się, że okiem mej duszy
Widzę, jak milczkiem po bagnach się chowa,
Jak go wędrówka popędza wciąż nowa,
A gdy się myśl ma jedna z drugą sili,
On powie znów to samo po milczenia chwili.

Przecież niebawem, gdy skończył te sprawy,
Inne się rzeczy z tamtemi mieszały,

Lecz zawsze w sposób miły i łaskawy;
O mało-m nie śmiał z siebie, iż zgrzybiały
Starzec ten pełen jest mocy, tak stały
„Niech Bóg się ku mnie“, rzekłem, „z łaską nagnie,
Gdy myślę o zbieraczu pijawek i bagnie“.

ROBERT SOUTHEY

NOC.

(Z poematu „Thalaba“)

Jakże wspaniała jest noc!
Ciche powietrze pełne świeżych ros!
Jasności niebiosów
Żadna nie klóci chmurka, żadna mgła
Majestatyczny pełny miesiąc kraje
Ciemno-błękitną głąb.
W promieniach jego spoczywa
Pustkowie wielki krag,
Jak oceanem, opasany niebem!
Jakże wspaniała jest noc!

ME DNI MIJAŁY W ZMARŁYCH GRONIE.

Me dni mijały w zmarłych gronie;
Gdzie tylko rzucę okiem,
Za dawnych mężów światem gonię,
Za mędrce i prorokiem.
To niezawodni przyjaciele,
Z którymi codzień czas swój dzielę.

Im poświęcałem szczęścia chwile,
Szukałem w nich otuchy,
A żem rozumiał i czuł, ile
Dają mi dawne duchy,

Przeto z wdzięczności nieraz zdroje
Łez wylewały oczy moje.

Z zmarłymi była myśl ma wszędy;
Czas minął odtąd mnogi;
Cnoty-m ich kochał, karmił błędy,
Duch ich nadziei, trwogi.
Do nich chodziłem też w pokorze,
Co duch mój od nich zyskać może.

Z zmarłymi wszystkie me nadzieje
I wszystka ma ochota;
Z nimi już pójdą me koleje
Po koniec dni żywota,
A moje imię, tuszę sobie,
Nie zginie, gdy już spocznę w grobie.

DO PSZCZOŁY.

Rychło się budzisz, skrzętna, skrzętna pszczoło!
Gdy wcześniej wychodzę na wrzosa,
Nim jeszcze krówka ze spoczynku wstanie
By pójść, w oborze rzuciwszy posłanie,
Na łąkę srebrną od rosy,
Już widzę ciebie, skrzętna, skrzętna pszczoło!

Zbierasz do późna, skrzętna, skrzętna pszczoło!
Kiedy kwiat wszystek już ginie,
Kiedy pierwiosnek już się w mroku grzebie,
Jam słyszał ciebie i jam widział ciebie;
W cichej, wieczornej godzinie
Słyszałem ciebie, skrzętna, skrzętna pszczoło!

Skąpiec z ciebie, skrzętna, skrzętna pszczoło!
Zajęta jesteś bez granic!
Śród nieustannej gromadzisz roboty,
Przez całe lato, swój dobytek złoty,
Bo zima dla ciebie jest na nic:
Naukaś dla mnie, skrzętna, skrzętna pszczoło!

Mało się troszczysz, skrzętna, skrzętna pszczoło,
Jak z twoim trudem wypadnie.
Kiedy ostatni kwiat bluszczu już zwiędnie,
Gdy się twa praca zakończy niezbędnie,
Pan twój wszak miód ci ukradnie —
Biada ci, biada, skrzętna skrzętna pszczoło!

KRZEW DZIĘDZIERZAWY.

Widziałeś kiedy, czytelniku prawy,
Krzew dziędzierzawy?
Oko, patrzące na to jego liście,
Ma, oczywiście,
Dowód, że tak jest sprawion krzew ten lśnisty,
Iż może zmieszać mądrość ateisty.

Kolcami liść ten otoczony jest dołem,
Jak ostrokołem,
Nic mu nie robi stado, co w tym czasie
Obok się pasie.
Lecz skoro tylko podrośnie, jest miękki,
Gładki, bezbronny, że na nic już lęki.

Ciekawe na to lubię rzucać oko,
Wierząc głęboko,
Że w dziędzierzawie można widzieć godło,

Coby nas wiodło
Do utworzenia rymu, który wszytek
Czasom idącym wyjdzie na pożytek.

To też gdy miewam, tak obcym się zdaje,
Szorstkę zwyczaję
Dla tego, który wchodzi w moje ściany
Nieokrzęsany,
To chciałbym w domu, wśród druhów zabawy,
Być, jak bez kolców ten krzew dziędzierzawy.

Choć w młodych leciech — rzecz to jest młodości —
Surowość gości,
Pragnąłbym z siebie codziennie i wszędy
Strząsać te błędy,
Aż się przyłoży wiek mój do tej sprawy,
Aby być gładkim, jak liść dziędzierzawy.

Lecz choć się drzewa i krzewy w dni letnie
Zielenią świetnie,
Choć dziędzierzawa mniej piękne kolory
Miewa tej pory,
To kiedy zimą zwiądł las i murawy,
Cóż bardziej cieszy nad krzew dziędzierzawy.

Choć swą powagę młodość ma rozumie
W bezmyślnym tłumie,
Choć uroczystszym bywam pośród młodzi,
Nišli się godzi.
To w dni późniejsze chcę być tej postawy,
Jak świeże zimą krzewy dziędzierzawy.

SKAŁA DZWONU.

(The Inchcape Rock.)

Ciche powietrze i odmęty
I statek cichy, jak zaklęty,
Na zagle żaden wiew nie padnie,
Wręga okrętu drzemie na dnie.

Bez szumu, syku wałów moce
Suną po „Dzwonu“ tej „Opocę“;
Tak zwolna rosły, tak spadały,
Że nie ruszyły „Dzwonu Skały“.

Na skale Opat z Abrbrothoku
Umieścił dzwon był na widoku;
Gdy wiatr nad morzem szalał wraży,
Dzwon, płynął z beczką, strzegł żeglarzy.

Strzegł, ostrzegając, kiedy fala
Nad „skałą“ strasznie się przewala,
I ci, widzący, skąd zatrata,
Błogosławili wciąż Opata.

Na niebie słońce łni radośnie,
Że wszystko życie z szczęścia rośnie,
I ptactwo morskie, krążąc wkoło,
Śpiewa i śpiewa przewesoło.

Jak ciemna plamka się wydała
Beczka na wodzie, gdzie ta „Skała“,
A na pokładzie sir Ralf kroczy
I ku tej plamie zwraca oczy.

Czuje radosną siłę wiosny,
Gwiżdże i śpiewa w ton radosny,
Serce weseli się, jak można,
Lecz ta wesołość była zdrożna.

Na „Skale Dzwonu“ okiem spocznie
I rzecze: „Płynimy tam niezwłocznie,
A mając „Skałę“ na widoku,
Zakpię z Opata z Abrbothoku“.

I ruszył statek w stronę „Skały“,
Wiedzie go sternik poprzez wały;
Ralf korsarz z statku się przechyli
I dzwon odetnie tejże chwili.

Z sykiem do wody i bulkotem
Wpadł dzwon, sir Ralf zaś rzeknie o tem:
„Kto pierwszy spłynie tu ze świata,
Nie spłynie z dankiem dla Opata“.

I korsarz Ralf pojechał dalej,
Plądrując wokół na wód fali,
I zbogacony, jak należy,
Do szkockich zwrócił się wybrzeży.

W tem mgła zaległa tak powietrze,
Iż żadne słońce się nie przetrze;
Każdego dnia szalała burza,
Dopiero wieczór się rozchmurza.

Korsarz rozgląda się z pokładu:
Pomrok, że kraju ani śladu;

Wtem Ralf odezwie się w te słowa:
„Już tarcz widnieje księżycowa“.

„Snać wał się łamie“, jeden rzecze,
„Bliskośmy brzegu“. „Nie wiem, czlecze,
Gdzie my, lecz to ci powiem szczerze,
Usłyszeć dzwon ów chęć mnie bierze“.

Nie słyhać dzwonu, fala rośnie;
Choć wicher ucichł, bezlitośnie
Wałą o statek straszne moce:
„Chryste! Przy „Dzwonu“ my „Opoce!“

I korsarz Ralf rwie sobie włosy,
Z rozpaczny swe przeklina losy;
Fala się wzmaga i w głębinie
Wód szalejących statek ginie.

Ale w śmiertelnej chwili trwogi
Mógł słyszeć korsarz dźwięk złowrogi,
Dźwięk, jakby szatan dzwonił dzwonem
„Skały“ na morzu rozburzonym.

S. TAYLOR COLERIDGE

I.

Z SONETÓW.

Krwawisz się, biedne me serce! Głęboko
Myśląc o ranie twej, śmieję się z wzgardą,
Przecież twą dolę gdy rozważam twardą,
Ciemnemi łzami nabrzmiewa me oko.

Śluchałeś szeptów Nadziei, a czemu
Szept ten puściłeś w niepamięć, gdy blade
Ręce szalonej zazdrości gromadę
Widm ci przywiodły, wrogich zdrowiu twemu?

Słodką to była nadzieja, choć nikła,
I snem niejednym chwile ci spokoju
Uprzyjemniała!... W największym ją znoju
Winien-ś był pieścić najwięcej! Tak zwykła,
Wysiłkiem troski matka przygnębiona
Pieścić swe dziecię, mrące u jej łona.

II.

Czemuś mi uszło, o słodkie spojrzenie,
Coś moją duszę zwodziło! Jak w wnętrze
Kwiatów miesięczne wnikają promienie,
Znajdź w moje serce drogi jaknajprędsze,

Szczęśny uśmiechu! Rozmyślałam ze smutkiem
O dniach minionych, leżąc, gdy dzień ginie.

Nadzieja błysnie mi w rozśniętym krótkim,
By mnie zostawić w mrocznej leż dolinie.

O dni nadziei, usłyszcie mi lotem!
Darmo się myśl ma, by was schwycić, traci,
Darmo perswazja wabi was z powrotem
Swojami tony, o goście skrzydlaci!
Ale wy macie piękność barwnej tęczy,
Co się na wodach wieczorami wdzięczy.

III.

Rodzinna rzeko, Kaskado Zachodu!
Ileż minęło lat przeróżnych! Ile
Godzin radosnych i jak smutne chwile
Przeszły od czasu, gdym rzucał za młodu
Skalki o pierś twą i liczył u brodu
Twego ich skoki! Jak to wszystko w młodość
Wgryzło się duszę! Każdy promień słońca
Łączę z wikliną nadbrzeżną, z tą wodą,
Z temi czółnami, z tym piaskiem, bez końca
Zmiennym w kolorach!... O wizjo młodości!
Nieraz igrałaś z męskich trosk mych szkodą!
Ach! Przecz dziecięcy wiek już nie zagości?!

HYMN PRZED WSCHODEM SŁOŃCA W DOLINIE CHAMOUNI.

Możesz-li jakim powstrzymać zakłębem
Gwiazdę poranną w jej biegu? Jak długo
Zda się spoczywać nad twą łysą, groźną
Głową, królewski ty Montblanku! Arwa
I Arweiron szaleją bez końca
U twych podnóży. Ale ty, postaci

Majestatyczna, z jakimże spokojem
Ze spokojnego wylaniasz się morza
Tych twoich świerków! Naokoło ciebie
I ponad tobą głęboki, masywny,
Ponury, czarny przestwór, jak z hebanu!
Wydaje mi się, że wbijesz się w niego,
Jakby klin jakiś! Lecz gdy spojrzę znowu,
Widzę, że jest to tylko gmach twój cichy,
Twa kryształowa świątynia, przybytek,
W którym przebywasz od czasu wieczności.
O ty szczęśliwy, groźny Wierchu! W ciebie-m
Patrzył, dopóki, cielesnemu oku
Ciągłe widoczny, nie zniknąłeś moim
Myślom: i w modłach pogrążon zachwytnych
Niewidzialnego wielbiłem jedynie.

Ale jak słodka, czarowna melodia,
Snać taka słodka, że nie wiemy wcale,
Iż jej słuchamy, tyś się z moją myślą
Zlewał tymczasem, o tak, z mojem życiem,
Z mojego życia przetajną rozkoszą
Aż rozszerzona ma dusza, w zachwycie
Z tą się potężną zjednoczyła wizją,
W tej przyrodzonej, widać, już postaci
Rosła i rosła, by się stopić z niebem.

Zbudź się, ma duszo! Nie samą li bierność
Uwielbień winnaś, nie li lży nabrzmiałe,
Milczące dzięki i nieme zachwyty!
Zbudź się ty głosie słodkiej pieśni! Zbudź się!
Zbudź się o serce! Zielone doliny,
I zwały lodu niech się w hymn mój złączą.

Pierwszy, jedyny władco tej doliny,
Ty, który z mrokiem przez noc walczysz całą,
Którego gwiazdy odwiedzają nocą,
Czy to ku niebu pnać się, czy spadając;
Ty druhu Jutrzni w czas świtów porannych,
Ty ziemi gwiazdo różowa i świtu
Współgłosicielu, zbudź się, zbudź i śpiewaj!
Któż twe przystopy ciemne wpuścił w ziemię?
Któż licom twoim blaski dał różowe?
Któż cię uczynił ojcem wiecznych źródlisk?

Wy pięć wesółych, acz dzikich potoków!
Któż was wywołał z mgieł nocy i śmierci?
Któż z grot lodowych i mrocznych przyzywał,
Byście spadały z czarnych, stromych opok,
Rozbryzgające się, a wciąż te same?
Któż dał wam życie, dla ran nieprzystępne,
Tę moc, ten rozpęd, szybkość, wściekłość, radość?
Te nieustanne grzmoty, wieczne piany?
I kto rozkazał (i stała się cisza)
Teraz się skrzepcie, fale, i zamilezcie?

O lodozwały! Wy, co z wierchów czoła
W tych przeogromnych zwieszacie się bryłach —
Potoki, zda się, które, usłyszawszy
Jakiś potężny nagły głos, od razu
W swym najszaleńszym wstrzymały się biegu!
Umilkłe rzeki, ściche katarakty!
Któż was w wspaniałe zmienia barwy niebios
W tych bystrych blaskach pełnego księżyca?
Któż każe słońcu odziewać was w tęczę?
Któż z żywych kwiatów o barwach najżywszych

Wije te wieńce i do stóp wam składa?
Bóg! Niech potoki, niby krzyk narodów,
Odpowiadają! Echo pól lodowych
Niechaj zawoła: Bóg! Radosnym głosem
Śpiewajcie, rzeki, po halach: Bóg! Bóg to!
Wy lasy świerków z tą cichą, jakgdyby
Duchów melodją! A i wy śnać macie
Głos, kłęby śniegu, przeto niebezpieczną
Grzmijcie lawiną: „Bóg!“ Jak piorun, grzmijcie!

Wy, żywe kwiaty, na kraju wiecznego
Rosnące mrozu! Wy, kozice dzikie,
Poskakujące naokół gniazd orłów!
Wy orły, górskich towarzysze wichur!
Wy błyskawice, groźne chmur pociski!
O wy oznaki i dziwy żywiołów,
Bożą te szczyty napelnijcie chwałą.

A i ty, Wierchu sędziwy, z którego
Czubów, sterczących w niebiosy, spadają
Milczkiem lawiny i w głębię obłoków,
Przesłone piersi twych, leżąc, łyskliwie
W rozblękitnionych mienią się przestworach —
I ty, przegroźny Wierchu, gdy, przez chwilę
W tem rozmodleniu nachyloną głowę
Podnoszę k'tobie i z okiem, leż pełnem,
Pnę się powoli od twych stóp ku górze,
Że mi się zdaje, jakby uroczyście
Jakiś się obłok podnosił przedemną —
Wznoś się, o wznoś się, z ziemi, jak kadzidło!
Duchu królewski, pośród gór władnący,
Ty pośredniku groźny między ziemią,

A między niebem! Wielki hierarcho,
Powiedz milczącym niebiosom, mów gwiazdom,
Ziemi i temu wschodzącemu słońcu,
Tysiącem głosów niechaj wielbią Boga.

Y E A T S

ŚPIEW.

Ukój się, ukój serce smagane;
Chowaj przed światem miłości ranę.
Niech pieśń ją skryje dźwięcząca.
Ten, co swą wolą nad wszystkimi włada,
Przywarł drzwi strągi, gdzie gwiazdek stada,
Gdzie widmo błędnego miesiąca.

TOMASZ CAMPBELL

ŚPIEW.

(Do gwiazdy wieczornej).

Gwiazdo, sen dająca pszczołom,
Ty, co kładziesz kres móżołom!
Jeśli która z gwiazd, ty właśnie
Spokój ślesz z wyżyny,
Gdy nas niebo słodko głaśnie,
Jak oddech dziewczyny.

Zaświeć-że na pysznym skłonie,
Kiedy z pól się wznoszą wonie,
Kiedy stada słyhać zdala,
Śpiewy brzmią dokoła,
Gdy kłęb dymów się przewala
Z słonecznego siola.

Ty, co lubych łączysz razem,
Co swym zmuszasz ich rozkazem
Czcic swe śluby, raz złożone
Przed twem niebem: zbożna
Rzecz, iż zbyt są słodkie one,
By je zerwać można.

SEN ŻOŁNIERZA.

Trąby spocząć kazały, spadły nocy już cienie,
Gwiazdy strażę sprawują wśród niebieskich przestworzy;

Lud tysięczny na ziemię powaliło zmęczenie:
Ten się kładzie, by zasnąć, ten na śmierć się położy.

Spoczywając tej nocy na słomianym tapczanie,
Gdy fagotem czerń wilków od ciał zmarłych pędzono,
Cudne miałem widziadło i nim przyszło zaranie,
Potrzykrotnie w śnie moim pojawiło się ono.

Zdało mi się, że z pola, gdzie szalała tak srode
Krwawa bitwa, w dalekie gdzieś wszedłem pustkowie:
Była jesień, blask słońca na mej załśnił się drodze,
W dom mnie wiodąc, gdzie moi zamieszkali ojcowie.

I poszedłem na pole, które w życia poranku
Tyle-m razy przebiegał, kiedy-m jeszcze był młody;
Bek kóz górskich słyszałem i śpiew, bez ustanku
Brzmiący w polu, żniwiarzy rozręsknione zawody.

Kielich wina podnosząc, poprzyśiągłem na Boga,
Że mnie żadne już moce, by dom rzucić, nie zmuszą:
Całunkami mnie dziatwa obsypuje przedroga,
Żona moja lka głośno, całą troszcząc się duszą:

„Zostań, zostań, wypocznij z sercem wojną rozbitem!”
I rad żołnierz strudzony słowa tego posłucha.
Ale troska na nowo powróciła ze świtem
I głos, we śnie słyszany, wnet uleciał mi z ucha.

O MARYNARZE ANGLJI.

O marynarze Anglji,
Naszego morza stróże,
Którego flaga przez tysiąc lat
Wojny znosiła i burze!

Chwalebny sztandar podnieście znów,
By bić świeżego wroga!
Chwycicie broń, prujcie toń,
Choć zrywa się tucza sroga,
Choć w krąg bitewny szaleje gwar,
Choć zrywa się tucza sroga.

Słyszycie waszych ojców
To z wszystkich fal wezwanie?
Potem ich sławy wszak pokład był,
Grób mają w oceanie!
Gdzie Blake i Nelson potężny padł,
Tam wiedzie wasza droga!
Chwycicie broń, prujcie toń,
Choć zrywa się tucza sroga,
Choć w krąg bitewny szaleje gwar,
Choć zrywa się tucza sroga.

Brytanji twierdz nie trzeba,
Ni baszt u jej wybrzeży:
Jej marsz to pięć się po czubach wód,
Dom jej na głębiach leży.
Grzmotami trzeszczy ojczysty dąb,
Gdy wita ją fala mnoga,
Gdy jej bieg prysł o brzeg,
Gdy zrywa się tucza sroga,
Gdy w krąg bitewny szaleje gwar,
Gdy zrywa się tucza sroga.

Ognista flaga Anglji
W strasznym zapłonie boju,
Aż niebezpieczna ustąpi noc
I załśni dzień pokoju.

Wtedy, rycerze, nadejdzie czas,
Godzina ta przebłoga,
By hymn wznieść wam na cześć,
Gdy tucza ucichnie sroga,
Gdy już bitewny umilknie gwar,
Gdy tucza ucichnie sroga.

OSTATNI CZŁOWIEK.

W pomrok zapada świat dokoła
I światłość słońca gaśnie,
Nim byt śmiertelny wchłonąć zdoła
Jej nieśmiertelne jaśnie.
Obrazy mi się kiedyś śniły,
Co duszę moją uskrzydliły,
Wyniosły nad Czasu wrzątek:
Stanął przedemną wid człowieczy,
Który miał widzieć kres wszechrzeczy,
Jak Adam ich początek.

Słońce spoziera niewesoło,
Ziemię zgniótl ciężar wieku,
Szkielety ludów naokoło
Przy tym ostatnim czleku.
Ci padli w bitwie — zardzewiały
Oreż piszczele ich trzymały,
Tych głód i dżuma zżarły;
Wszelaki tyniec jak zaklęty,
Z trupami toczą się okręty
Na morski brzeg wymarły.

I on, jak prorok, głos podniesie,
Bez trwogi się wynurzy,

Aż spadły zwiędłe liście w lesie,
Jakby od gonu burzy.
„Nas tu dwóch, słońce“ tak powiada.
„Pochód twój słabnie, twarz twa blada,
Iść każe ci boży goniec;
Tysiące bowiem lat, tysiące,
Widziałoś ludzkie łąy gorące,
Czas już, by był ich koniec.

Cóż, że pod tobą ludzkie plemie
Pysniło się, tworzyło,
Że ujarzmiło morze, ziemię,
Że panem ognia było?
Lecz ja nie czuję dzisiaj bólu,
Że tracisz tron swój, dnia ty królu
Bo jakąż to godziną
Twe tryumfalne wszystkie blaski
Przyniosły trochę zbawczej łaski
Dla serc co z nędzy giną?

Idź! Na widownię biednej ziemi
Niech spadnie już kurtyna!
Niech ze wschodami się twojami
Prasędzia już nie wszczynają!
Niech teatr skończy się ponury,
Nie prowadź ludzi na tortury,
Nie dręcz ich męką świeżą;
Choroba zmięła ich straszliwie,
Lub jak pokosy traw, na niwie
Bitewnej ścięci leżą.

I mnie znużyły na ostatku
Gasnące twoje żary:

Nie patrz na moją śmierć, ty świadku
Skonów bez tchu i miary.
Może, mogiłne dla cię pienię
Szepczące wargi, to ich drżenie
Nie są dla twego oka!
Całunem mi Przyrody tonię,
Mój zewłok Noc w swe mroki wchłonie,
Królewska Noc głęboka.

Duch mój powróci k'temu właśnie,
Który mu dał te blaski;
Ale ty nie myśl, że on zgaśnie,
Gdy braknie twojej łaski.
On będzie żył i jaśniał dalej
Ogniem, co tobą się nie pali,
A którym on obdarza,
On, co w zwycięstwa jasnej dobie
Na przemożonym stanął grobie,
Skąd Śmierć uciekła wraza.

Idź więc! Na świata dziś ruinie
Ja dzięki Niemu stoje,
Największą gorycz chłoną ninie,
Jak nigdy, usta moje.
Idź, powiedz Nocy, co cię kryje,
Że tu ostatni Adam żyje
Śród cmentarnego ładu,
Że nie istnieją takie siły,
By nieśmiertelność w nim zabiły
I jego ufność w Panu.“

DO POLSKI.

Chociaż już widział, Polsko, miecz w twojej dłoni,
Wstań, Nieśmiertelna! Jeszcze raz do broni!

Wiecej twa flaga, niż rycerską, zwie się;
W cień się przy tobie trykolora niesię;
Nie zdierzy ciebie wargą nienatchniona
I w sercu mojem pieśń bezwładnie kona...
Majestatyczni mężo! Nie do wiary
Są wasze czyny, lecz dech mi bez miary
Zapiera los wasz! Nienawistne dusze,
Dla których obce są miecze i kusze —
Jakież to wstręty, czuję, budzą we mnie,
I to tem większe, bo czuję daremnie!

O Polsko! Widzę w tem krzywdę niejedną
Ust współlitośnych, co zowią cię biedną!
Biedna! To Anglja żalem cię obdarza,
A złodziejskiego nie zdusi cesarza!...
W pętach Burbonów, Francja się nie ruszy
I Niemcy w sobie już nie mają duszy:
Państwa te martwi olbrzymia przewaga,
Nieustraszona li Polska się zмага.
„Wyście bogaci w sławę, krew lejecie,
Lecz nie wesprzemy was, my biedni przecie!“
Uragająca losom, w oczach świata
Z nieśmiertelnością dziś się Polska brata;
Choć znów Oprawca wpycha miecz w nią krwawy,
Przecież nie zerwie z skroni wieńca sławy.
I znów ofiara pada uwieńczona,
Święte jest miejsce tam, gdzie ginie ona.

Lecz zbądź się, duszo, czarnych przepowiedni:
Duch wielkiej Polski nieśmiertelny! Przedni
Blask, który z niebios poto jest zesłany,
By rozwścieklone poskromić tyrany.

Ona, jak feniks, odnowi swą postać,
 By w dziejach świeże skrzydła sławy dostać,
 By Atenami być po Maratonie:
 Wznosi swe sztuki, wymową zapłonie,
 Jasna, jak oręż, który w rękę dzierży!
 O, niechże z nieba spłynie strumień świeży
 Wielkiej radości, takie szczęścia zdroje,
 Coby i życie pochłonęły moje.
 Przyjdź dniu, gdy Polska walki nieustanne
 Skończy, a słońce zaświeci poranne
 Na moim grobie!... Dzień promiennej sławy,
 Kiedy w katedrze już wolnej Warszawy
 Zalśnią sztandary, zdobyte na wrogu!
 Tęm pięknych niewiast dzięki złoży Bogu,
 Kornie rycerze z zgiętymi kolany,
 W tarcze herbowne przystroją się ściany,
 Z ołtarzy, pełnych kadzideł, do góry
 Hostja się wzniesie; nawy mrocznej mury
 Od brzmień organnych zadrżą; wielcy zmarli
 Z swoich się grobów na światłość wydarli:
 Król Jan, Europy zbawiciel, tu będzie
 I Poniatowski świetlany, w ich rzędzie
 Stanie Kościuszko. Gromnice płonące
 I alleluja radosnych tysiące
 Tak się rozleją światłem nieprzebytem,
 Że wszystko jednym stanie się zachwytem.

A gdyby losy odwrócić się miały
 Od widowiska, tak pełnego chwały
 I rabuśników wtargnęło znów morze,
 Nie myślcie sobie wy, co te nieboże
 Spełniacie zbrodnie, albo milczkiem na nie
 Dziś pozwalacie, że to krwi wylanie

Waszego brata Abła nadaremnie
 Zwalczało czynu podobnego ciemnie!
 Wy, o Niemcowie, na to hańby życie
 Z fosforem w oku i flegmą patrzycie!
 Ta-ż to Germanja, tak głęboka duchem,
 Pełna i nauk i sztuk? Pod obuchem
 Rządu dziś tylko spać jej cała wola,
 Duszę ma w sobie książkowego mola!
 Z warg pusta rzecz wam o wolności płynie,
 O konstytucji prawicie przy winie.
 Wasza przysięga zgnieść jarzmo tyrańa
 Przy bachanaljach bywa wyczerpana,
 Przy marnych śpiewkach i cygarach... Nieba!
 Czyż Przezorności młota dziś nie trzeba,
 By rozbić ciężki ołów w waszej głowie
 Metafizyczno-mistycznej? Któż powie,
 Że ten sam ucisk, który Polskę grzebie,
 W grób też nie zepchnie, Germanjo, i ciebie?...

Patrz! Kiedy Polak, Francji awangarda,
 Przykucnął, kiedy jego ręka twarda
 Wystawia dźbę, ona się odwraca
 Od opuszczonych przyjaciół: jej praca
 Głaskać niedźwiedzia, co na patryjotów
 Mięso tak czyha! Kupry! handel gotów,
 Nędzny, sromotny! Wypoczynek krótki,
 Umierających kłatwy, jęki, smutki
 Tych, co kochali, co służyli wiernie,
 A dziś za ufność takie mają ciernie!...
 O wy Francuzi! Wy! Umarłych groby
 Dziś oskarżają te wasze sposoby!
 Liśćmi wawrzynów uwieńczone czoła,
 Piersi gwiazdami okryte dokoła,

Niejedną bowiem otrzymały bliznę
Za legionów francuskich ojczyznę,
Jakież to ku wam kierują wyrzuty
Z pola, gdzie wiedli bój straszliwie luty
Za honor Gallji!... Wiara zawiedziona
Więcej przynosi dzisiaj szkody ona,
Francjo, twej sławie, temu życiu życia,
Niż bitw dwadzieścia, przegranych dla bycia
W walce chwalebnej!...

A Anglja? Upadła
Ona tak nisko, zdrętwiała i zbladła,
Że więcej strachu, niżli gniewu mamy,
Gdy do sąsiedzkiej dobija się bramy
Jawny morderca — nie z maską na twarzy,
Ani w przebraniu, bojący się straży,
Z nożem w zanadrzu, czyhający skrycie,
Za życie gotów własne oddać życie
Na haku, tylko morderca publiczny,
Który w wykwintnej pompie ustawicznej,
Królewski mając gniew sprawiedliwości,
Chodzi po świecie i więcej w swej złości
Łez, krwi wyciśnie, niż to, w winnych tłumie
Na szubienicy, Sprawiedliwość umie.
Koronowany jest nam znan morderca;
Wiem się, kręcim, a nie chcemy serca
Bezużytecznem trapić oburzeniem!
Jęki, wzdychania, gniewy, lecz z sumieniem
Rozbrat: Nie spłonie nasze zimne lice,
By mu rycerską rzucić rękawicę.

Gdyby tej walki powód był wątpliwy,
Lub zwykła grabież nawiedziła niwy

Świata, lub państwa w pospolitej wojnie
Jęły się zмагаć, mogłaby spokojnie
Patrzeć Brytanja na rabusiów rzędy
I rabowanych i, oddechu względy
Mając dla siebie, czułaby, że z głowy
Jeszcze jej wieniec nie spada laurowy.
Ale to walka jest Światłości z Nocą,
Ziemia to zмага się swą całą mocą
Z pojęciem carstwa. Ucisk, który sobie
Używa dzisiaj na tym naszym globie
I swym sztyletem sięga gdzie li zdoła,
Na wolnych braci, poległych dokoła,
Wskazując swoim sztyletem, z pogardą
Także nad wami nim potrząsa, twardą
Wróżąc nam dołę. Koszałki nielada
O ujarzmionej Polsce opowiada
Swobodnym państwom, takie niesłuchanie
Ważąc w ich oczach to naigrawanie.

O ma Ojczyzno! Zali twoje skronie,
Ongi tak dumne, gniewem nie zapłonie
Na tę obelgę? Zali nie masz floty
Z flagą chwalebną, co swemi trzepoty
Raduje każdą łódź, niosącą gromy?
Czy nie zabarwisz wód, gdzie ten widomy
Włada hańbiciel, posoką, wylaną
Z żył barbarzyńskich? Czyż przyjdzie to rano,
Że jego flagę wypędzisz na wieki
Z wód Oceanu? O jakżeś daleki,
Razem z ojczyzną mą, ty świetny królu,
Od skał tych morskich, gdzie śpiewam pieśń bólu!
Głębie raduje nasz sztandar... Spokojny
Toczy się statek, zbudowan dla wojny,

A z nieboskłonu błękitnej obręczy
Wznosi się zwolna promienisty łuk tęczy,
Pomiędzy liny i płótna się wciska,
Aż w cudownego ogromu widowiska
Zmienia się cały... Wyobraźni oczy
Częstokroć w zmysł się zmieniają prorocy:
Przyjmują znak ten, nieba obietnicę
Widzą w tym łuku tęczy me żrenice.
Okręt, wykładnik potęgi Brytanji!...
Ale jeżeli zawiedziesz się na niej,
Narodzie polski, to ja twoją duszę
Na szczyty jeszcze wyższe podnieść muszę,
Nad przykład, litość, chwałbę i przygany,
Byś bezgraniczne kosił Sławy łany.
Ty już nie żądaj wsparcia od narodów,
Twej rycerskości nie pomnych... Powodów
Dość ma Europa, by być dłużną tobie.
Choć jesteś, Polsko, jak ten Łazarz w grobie,
Przecież żebraczką nie wstaniesz z mogiły:
Czy Polskę będą okrutnie trapiły
Gniewy Fortuny, niebezpieczeństw rączy
Bieg nad przepaście, nigdy nie połączy
Ona z rozpaczą swojego imienia.
Wszystko złe chodź razem: dopuszczenia,
Plagi, wichury, wylewy, pożary.
Siła li może powstrzymać bezmiary
Krwi ściekającej... Czem jest wolność w świecie,
O to się państwa nie troszczą, a przecie
Prędzej czy później mieć tę Wolność muszą.
Tyran, co ciało uśmierca, nad duszą
Zbiorową mocy już nie ma. Im dalej,
Tem bardziej wola dziedziczna się pali

W piersiach pokoleń, z rodzica na syna
Idzie ta żądza, to jest ta jedyna
Włość serc: polegli ojcowie, chęć boju
Tem silniej wnuków wyrывa z spokoju.

Polska, bogata w huf dawnych rycerzy,
Coraz mężniejszych stworzy zastęp świeży.
Sztandar jej orła stanie się na ziemi
Pierwszy i z tony połączy ludzkimi
Orlą moc ducha — jej wzorem się stanie...
Ale tu kończą to w jej cześć śpiewanie
Słabe me wargi: niech młodości bardowie
I lepsze lutnie przyjdą po mem słowie.

L O R D B Y R O N

Z MELODYJ HEBRAJSKICH.

1

Idzie w piękności swej ozdobie,
Jak noc gwiazdzista bez obłoku;
Czar, który blask i mrok ma w sobie,
W jej twarzy zlewa się i oku;
Dzień w swych łagodnych zmierzchów dobie
W takim nie kąpie się uroku.

Ani za dużo ni za mało
Ogni i cieni człek w niej zoczy;
Spokojne światło się rozlało
Na czarnych falach jej warkoczy;
Jak jest rozkoszne to jej ciało,
Mówi w niem ducha wdzięk uroczy.

Te brwi, to czoło, ta źrenica,
Ta cicha spojrzeń jej wymowa,
Ten uśmiech wargi, gładkość lica
Bez zbytecznego głoszą słowa,
Że się miłości tajemnica
I dobroć w czystem sercu chowa.

2

Posępny duch mój; w harfy strony
Uderz coprędzej, niech w me uszy

Popłynie głos ich przytłumiony;
Jeżeli jeszcze mam w swej duszy
Troszkę nadziei, to ją ruszy
Dźwięk ten i lży me, gdy są w oku
Słyną, by żary swych katuszy
Utopił mózg mój w ich potoku

Lub dobądź tonów, pełnych grozy,
Niech pieśnią bolu harfa jęknie;
Niezbędne są mi dzisiaj ślozy,
Bo mi, śpiewaku, serce pęknie!
Karmione troską, nieraz stęknie
W bezsennych nocach; niech w tej chwili
Już mi na wieki się przełęknie,
Lub się na świeży hymn wysili.

3

Widziałem lży twe, jak potokiem
Płynęły-ć z błękitnych oczu:
Do ros niebieskich w swem głębokiem
Podobne były przezroczu.
Widziałem uśmiech twój: zaiste,
Szafir przy tobie jest niczem,
I któż to blaski promieniste
Z twem zechce równać obliczem?!

Widziałem, jak kolory słońca
Chłoną obłoki te w siebie
I jak ich wieczór snąć do końca
Nie zdoła zgasić na niebie;
Tak i twój uśmiech: acz z boleści
Pełnego serca, to przecie
Jasne wesele w głębi mieści,
Słoneczny blask siejąc po świecie.

STANCE POD MUZYKĘ.

*„O lachrymarum fons, tenero sacros
Ducentium ortus ex animo: quater
Felix! in imo qui scatentem
Pectore te, pia Nympha, sensit!“.*

Gray

Świat ci nie da tej radości,
Jaką ci odebrać umie,
Kiedy ogień młodych myśli
W smętnej gaśnie już zadumie.
Nie tak prędko na obliczu
Wiednie młodem krasa świeża,
Jak kwiat serca, nim precz jeszcze
Sama młodość pójść zamierza.

Tych niewielu, co chcą płynąć
W potrzaskanej szczęścia łodzi
I omijać głębie grzechu,
Nie utonąć w zła powodzi,
Tracą magnes, albo widzą,
Że wskazuje im jedynie
Takie brzegi, dokąd nigdy
Ta ich barka nie dopłynie.

I, jak śmierć, się potem zbliża
Ten chłód ducha; duch ten, Boże!
O swych własnych nie śnił bolach,
Odczuć cudzych więc nie może.
Zmroziły się łez krynice
I choć jeszcze błyska oko,
To jedynie zimnym lodem,
Który tak je ściał głęboko.

Tak i dowcip tryska z wargi,
Tak ze serca żart się leje,
Kiedy człowiek o północy
Snu utracił już nadzieję:
Tak się w zwojach bluszczu kryje
Powalona, stara wieża:
Gruz we środku i zniszczenie,
Choć na zewnątrz zielen świeża.

Abym dzisiaj czuł, jak czulem!
Abym był tak, jak przed laty!
Abym płakać mógł, jak ongi,
Świadom swej niejednej straty!
Jak są miłe, choćby słone,
Te w pustynnych piaskach zdroje,
Tak w żywota mego pustce
Byłyby też i łzy moje!

DO TYRZY.

Cios jeszcze jeden, a w żalobie
Przestanie pękać serce moje;
Jedno westchnienie zamknąć w tobie
I znów w poprzednie wrócić znoje.
Dobrze mi będzie czynić zadość
Sprawom, tak obcym w przeszłej porze,
Choć mnie odbiegła wszelka radość,
Jakiż to ból mnie spotkać może?

Więc czaszę winą mi przynieście,
Nie na to człek, by żył samotnie!
Chcę lekkoduchem być nareście,
Nie płakać z nikim, a ochotnie

Śmiać się z wszystkimi, choć tak przecie
Nie było dawniej. Lecz gdy w trudzie
Zostawiłaś mnie, niczem-ś w świecie
Dla mnie, jak niezem wszyscy ludzie!

Próżno mi lekką stroić lutnię:
Śmiech, co uragać chce żalobie,
Która z pod niego patrzy smutnie,
Jest jako róży kwiat na grobie.
Choć towarzysze od puharu
Chcą ból w wesołej gnać godzinie,
Rozpalać duszę mą do żaru,
Serce samotne przecież ginie.

Dobrze samotną, cichą nocą
Zatopić wzrok swój w nieb przezroczy,
Bo mi się zdaje, że się złocą
Tak samo tve myślące oczy.
Nieraz egejskie prując wody
Przy blasku Cyntji, myślę sobie:
„Tyrza na księżyc patrzy młody!“
Lecz ach! on świeci na jej grobie!

Nieraz, gdy bole mnie trapiły,
Gdy sen nie schodził na me łoże,
„Dobrze“, myślałem już bez siły,
„Że Tyrza widzieć mnie nie może.“
Ale jak wolność dawać szkoda
Niewolnikowi, co już kona,
Tak darmo wróci mi Przyroda
Życie, gdy Tyrza pogrzebiona.

W Tyrzy-m dni lepszych miał rękojmię,
Gdy życie, miłość były świeże;
Dziś wzrok twój ócz mych już nie pojmie,
W takiej to blask ich przygasł mierze!
Twe serce, dane mi od ciebie,
Zmilkło... Z jakiego zaś powodu
Moje — niech raz już śmierć je grzebie! —
Ma wciąż odczuwać rękę chłodu?!

Gorzka rękojmio! Smutny darze!
Powitać ciebie jakże miło!
Uchowaj miłość w dawnym żarze,
Lub serce złam, co się tuliło!
Miłość łagodzi czas i prości,
Lecz nie zabija!... W mym rozumie
Pierwszą z tysiącznych jest miłości
Ta, co się zmarłych zrzec nie umie.

NIECH JUŻ ME SERCE BIĆ PRZESTANIE*).

Niech już me serce bić przestanie,
Kogóż bo jeszcze niem poruszę?
Lecz choć omija mnie kochanie,
Ja kochać muszę.

Dni me to zwiędły liść; owoce
I kwiat miłości szczyzły marnie!
Robactwo, rak i cierpień moce —
To mnie ogarnie!

*) Wiersz napisany na krótki czas przed śmiercią. Byron dał mu tytuł: „Na dzień, w którym skończyłem lat trzydzieści sześć“. — Missolonghi, 22 stycznia 1824.“

Ogień, co wewnątrz me pożera,
Jak niby wulkan gdzieś w pustyni:
To nie pochodnia życia szczerą —
Stos się zeń czyni.

Nadzieja, trwoga, zazdrość, szala,
Miłości żar i ból jej głuchy
Dziś już nie dla mnie: pozostały
Li jej łańcuchy.

Ale nie dziś, nie tutaj o tem,
Gdy tam niejeden już z rycerzy
Czoło swe wieńczy sławy splotem,
Lub w grobie leży.

Chwała i zastęp greckich mężów,
Miecz i proporzec — cel dzisiejszy!
Spartanin, niesion na pawęży,
Nie był wolniejszy.

Zbudź się, — nie Grecja, ta już w boju! —,
Zbudź się, mój duchu! Myśl, przez kogo
Do ojczystego tęskni źródło
Krew ma tak błogo!

Te żądz niemiłych zdepc porywy,
Niech raz ja dzień ten już pogrzebię!
Gniew piękna, jego uśmiech żywy
Dziś nie dla ciebie!

Giń, gdy żałujesz swej młodości!
Na polu walki wyrwie z matni

Śmierć cię chwalebna! Tam złóż kości,
Stłum dech ostatni!

Co inni mieli bez szukania,
Szukaj: w żołnierskim tylko grobie
Szukaj posłania, nikt nie wzbrania
Tam spocząć tobie!

MROK*).

Sen miałem kiedyś, choć nie sen to może.
Słońce promienne zagasło, a gwiazdy
W wiecznych błdziły przestworach, ściemnione,
Bez dróg i blasków. Lodowata ziemia
W bezksiężycowej zawiśła przestrzeni,
Ślepa i czarna. Pojawił się księżyc
I znikł i znów się pojawił, lecz z sobą
Dnia on nie przyniósł. Ludzie, przerażeni
Tą straszną pustką, zapomnieli całkiem
O namiętnościach, a chłód wszystkie serca
Do samolubnych pchał modłów o światło.
I ludzie żyli jakby przy ognisku:
Trony, pałace głów koronowanych,
Domy i chaty, schroniska wszystkiego,
Co tylko żyje, płonęły. Szły z dymem
Miasta; naokół palących się mieszkań
Tłum się gromadził, ażeby raz jeszcze,
Jeden drugiemu, spojrzeć sobie w oczy.
Szczęśliwi byli ci, co się gnieździli

*) Mickiewicz, przekładając ten jedenastozgłoskowy, nierymowany utwór, posługiwał się wierszem trzynastozgłoskowym i rymowanym.

Naprzeciw wrzących pochodni wulkanów;
Świata została jedynie nadzieja,
Zmieszana z trwogą. Podpalono lasy,
I te z godziny na godzinę z hukiem
O ziem padały: wałąc z strasznym się łoskotem,
Wałące kłody, trawiły się, trzeszcząc,
I wreszcie gasły. Mrok pochłonał wszystko.
Ogniem rozpaczy ogarnięte czoła
Niesamowity przedstawiały widok:
W łyskach majaczą się ludzie; z nich jedni,
Zakrywszy oczy, płakali, zaś drudzy,
Brody podparłszy kułakiem, ginęli
Z śmiechu; znów inni, pędząc w wszystkie strony
Znosili żertwie na stos całopalny.
I ze szaleńcym niepokojem oczy
Zwracali k'niebu, czarnemu kirowi
Zmarłego świata; znowu inni wyjąc,
Klnąc i zgrzytając, tarzali się w prochu.
Dzikie zaś ptactwo, przypadłszy do ziemi,
Z bezużytecznem mocuje się skrzydłem.

Najdrapieżniejsze jawią się zwierzęta,
Trwoga je widać, oswoiła; żmije
Pełzną ku ludziom z sykiem, lecz bez żądał,
A ci je biją na pokarm. I wojna,
Zmilkłszy na chwilę, wybuchła na nowo.
Krwia okupione jadło spożywano —
Każdy z osobna chował się na boku —,
W posępnej dławiąc się trosce. Z miłości
Nic nie zostało: na ziemi li jedna
Myśl ogarnęła wszystkich — myśl o śmierci
Nieuniknionej i niesławnej. Wszystkie
Wnętrznosci szarpał głód; ludzie ginęli,

Ciała i kości ich niepogrzebione.
Psy żarły panów swych, oprócz jednego,
Który pozostał wierny umarłemu:
Znosił mu ptactwo i zwierzęta, głodnym
Wciąż odszczekując się ludziom, dopóki
Sami nie padli z głodu lub ich chudych
Szczęk nie nęciły trupy. Sam dla siebie
Nie szukał żeru, tylko z nieustannem,
Żalosem wyciem póty lizał ręce,
Które go głaskać i pieścić przestały,
Aż zdechł... Stopniowo wymarł wszelki człowiek,
Padł z wycieńczenia. Dwóch li jeszcze było
W ogromnem mieście. Wzajem sobie wrodzy,
Zeszli się razem przy dogasającym
Ogniu ołtarza, gdzie nagromadzono
Stosy przedmiotów świętych, nieświętego
Oczekujące użytku. Zimnemi
Rąk szkieletami rozgrzebując popiół,
Znaleźli kilka słabych iskier i słabą
Dmuchając piersią, wydobyli krztynę
Ognia — płomienie jak na sztyd. I oczy
Wzniósłszy, gdzie było nieco więcej światła,
Zobaczyli się i — padli; położył
Wstręt ich wzajemny; nie poznali siebie,
Lecz głód wypisał na ich czole jedno:

Nieprzyjaciele... I świat opustoszał;
Ongi tak ludny i taki potężny,
W martwą się zmienił bryłę, bez pór roku,
Bez ziół, bez kwiatów, bez drzew i bez ludzi —
Chaos bez ruchu, kupa martwej gliny.
Rzeki, jeziora i morza bez życia.
Nic się w umilkłych nie ruszyło głębiach;

Statki, żeglarzy pozbawione, gniły —
Maszty padały kawałami, otchłań
Fal nieruchomych chłonęła ich szczęty.
Burze zmartwiały, wody w swojej własnej
Legły mogile. Przedtem jeszcze zamarł
Księżyc, ich władca. W zdrętwiałem powietrzu
Szczeszły wichury, zginęły obłoki:
Nie potrzebuje mrok już ich pomocy,
Od tej chwili stał się już wszechświatem.

PROMETEUSZ*).

Tytanie, ty, co bez pogardy,
Acz Bóg na miejscu tak wysokiem
Swem nieśmiertelnem-ś patrzył okiem
Na los śmiertelnych gorzki, twardy,
Jaką-ż za litość masz podziękę?
Milcząca, straszną, ciągłą mękę,
Skale i sępa i kajdany,
Dla dumnych ból niewyczerpany,
Agonię, której nie pokażą,
A dolą to najbardziej wrażą!
Wzdychają tylko w tej godzinie,
Gdy są samotni, gdy niebiosy
Są obojętne na ich losy,
Kiedy ich jęk bez echa ginie.

Tytanie! Bój ci było trzeba
Między cierpieniem wieść a wolą:
On nie zabija, choć tak bolą

*) Istnieje przekład Wł. Nawrockiego. Por. Chmielowski
i Grabowski, „Obraz literatury powszechnej“.

Jego tortury! Twarde nieba,
Tyranja losów nieugięta
I ta z bezprawia złość poczęta,
Co stwarzać tylko to pamięta,
Na co kłaść może wieczne pęta,
Nawet ci śmierci odmówiły:
Masz nieśmiertelność — dar ten siły
Znosisz mężnemi! To, co z ciebie
Wydobył gromów król, to przecie
Była li groźba, co mu w duszę
Umiała przelać tve katusze:
Nie wyjawileś, co go zgniecie,
Acz była-ć znana przyszłość w niebie.
Twoje milczące te wyroki
Żał mu daremny, a głęboki
Wzbudziły w duszy, tak, że z lęku
Aż mu zadrżały gromy w ręku.

A twoją zbrodnią było boską,
By wskazówkami zmniejszyć swemi
Sumę cierpienia na tej ziemi
I aby człek, złamany troską,
Własnym się wzmocnił duchem; z góry
Stracon, umiałeś los ponury
Znosić cierpliwie, odbić ciosy
Mocą swej woli, które ślały
Na ciebie ziemia i niebiosy:
Przykład to dla nas jest wspaniały!

Tyś jest symbolem, w tobie droga,
Czem ma być człowiek w życiu swoim,
Gdyż on jest, jak ty, częścią Boga,

Z czystego źródła mętным zdrojem.
Przez ciebie człek przewidzieć zdoła
Nieszczęsne losów swoich koła,
Swoją odporność, byt swój cały,
I jakie moce go złamały
I że nasz duch jest równie mocny,
Że jego bój nie bezowocny,
Że jego woli pęd wspaniały
Klęska najlepiej snąć wywoła,
Że wyjdzie godnie z trosk nawały,
Że nawet śmierć zwycięży zgoła,
Jeśli mężnego będzie czoła.

WALTER SCOTT

Nie będę się rozpisywał o życiu i dziełach Waltera Scotta; znane są one każdemu, jako tako z historją piśmiennictwa angielskiego oswojonemu czytelnikowi. Któż z nas zresztą, zwłaszcza za młodu, nie rozkoszował się takimi opowieściami poetyckimi i romansami, jak „Pieśń ostatniego minstrela“, jak „Marmion“, „Pani Jeziora“, „Robby“, „Pan wysep“, „Waverley“, „Rob Roy“, „Narzeczona z Lammermoor“, „Ivanhoe“, „Kenilworth“, „Quentin Durward“ — i tyle a tyle innych, romantyką przepelnionych utworów.

Nie wszystkie jednakową mają wartość; niejedna z tych epik straciła swą świeżość (dla polskich czytelników przyczyniają się do tego naogół wzięwszy nieszczególnie nasze przekłady), — pierwiastki stałe polegają przecież na głębokiem odczuciu przyrody, wspaniale niejednokrotnie odmalowanej w krajobrazie szkockim, na tęsknocie do dawnych czasów rycerskich, na idealistycznym pojmowaniu życia.

Poznawszy zbiorek staroangielskich ballad, wydanych przez biskupa Percy'ego, zebrał i ogłosił trzytomowy zbiór „Pieśni z szkockich rubieży“ („Minstrelsy of the Scottish Border“).

Ur. 1771 w Edynburgu, zmarł 1832 w swym zamku Abbotsford; pochowano go w Dryburgh-Abbey, a w Edynburgu wdzięczni Szkoci, których ojczyznę tak pięknie opiewał, wspaniały wzniesli mu pomnik.

ROBERT SOUTHEY

Znienawidzony przez Byrona i Shelley'a za odstępstwo od zasad rewolucyjnych, „postępowych“, którym hołdował w młodzieńczych latach życia, Robert Southey (ur. 1774 w Bristolu, zm. 1843 w Greta) jest przede wszystkim autorem głośnego, mimo wszystko wielkich piękności nie pozbawionego, na stosunkach arabskich opartego poematu „Thalaba the Destroyer“ („Talaba niszczyciel“). Do najgłośniejszych i największych rozmiarami poematów epickich Southeya zaliczyć trzeba „Przekleństwo Kehama“, tym razem na motywach hinduskich.

„Szkoła jezior“ ma w nim jednego z głównych przedstawicieli, dzięki przedewszystkiemu licznym, w utworach jego rozsiyanym obrazom przyrody.

Rewolucyjne zasady i uczucia zamknął w latach młodzieńczych w takich opowiadaniach poetyckich, jak epos o „Joannie d'Arc“ i „Wat Tyler“ (w formie dramatycznej), traktującym o huncie tego bohatera ludowego przeciw Ryszardowi II (1381).

Za młodu marzył razem z Coleridge'm o przeniesieniu się do Pensylwanji i założeniu tam nowego, na wolności opartego państwa.

Od r. 1813 „poeta laureatus“ — po zrzeczeniu się tej godności przez Waltera Scotta, — stale mieszkając w miejscowości Greta, nad jednym z jezior Kumberlandzkich, nie przestawał pisać dalej. Między innemi powstało wówczas poetyckie opowiadanie „Roderyk, ostatni król Gotów“, a przede wszystkim „Wizja Sądu“, utwór, który — tym razem słusznie, choć niemilosiernie — wykipił Byron.

Podobnie jak przedtem jego żona, dostał i Southey obłędu, z którego uwolniła go śmierć w r. 1843.

Poza poematami, jest Southey autorem licznych prac

prozaicznych, o treści historycznej, literackiej, politycznej, oraz przeróbek romansów średniowiecznych.

SAMUEL TAYLOR COLERIDGE

Najgłośniejszy i najszczerzy z Lakistów, urodzony 1772 r., napisał między innemi „The Ancient Mariner“ („Pieśń o starym żeglarzu“, 1797), „Christabel“, „Zapolya“, tragedję „Remorse“ („Wyrzuty sumienia“), dramat historyczny „Upadek Robespierre'a“, i sto kilkadziesiąt utworów drobniejszych, sonetów, od, elegij itd. Umarł 1834 r.

TOMASZ CAMPBELL

Tomasz Campbell, zasługujący na miłość naszą ze względu na piękny, proroczy poemat o „Polsce“, należał do najsobotniejszych poetów epoki „Szkoły jezior“. I on odczuwał i rozumiał przyrodę, której poświęcił kilka pięknych wierszy.

Urodzony w r. 1777 w Glasgowie, przeniósł się zczasem do Edynburga i tutaj ogłosił (1799) większy, w duchu Pope'a poemat dydaktyczny: „Rozkosze nadziei“ („Pleasures of Hope“). Był to poemat odpowiadający gustom ówczesnym, to też stał się podwaliną jego sławy. — Romantycznym, Waltera Scotta przypominającym utworem jest opowiadanie o „Gertrudzie z Wyoming“, oparte na zniszczeniu (1778) przez Indjan kolonji angielsko-amerykańskiej Wyoming w Pensylwanji.

Romantyką zatraća silnie i inny jego poemat: „Pielgrzym z Glencoe“ („The Pilgrim of Glencoe“).

Z drobniejszych liryków z dużem spotkały się uznaniem takie rzeczy, jak „Sen żołnierza“, „Gwiazda wieczorna“ i inne, z których kilka mają czytelnicy w tej książce.

Umarł Campbell w Boulogne w r. 1844.

SPIS RZECZY:

	Str.
Walter Scott	5
William Wordsworth	12
Robert Southey	21
Samuel Taylor Coleridge	28
Keats	34
Tomasz Campbell	35
Lord Byron	48

OBRAZ POEZJI ANGIELSKIEJ

V.

OBRAZ
POEZJI ANGIELSKIEJ
Z ORYGIN. ANG.

ZEBRAŁ, PRZEŁOŻYŁ
I NOTATKAMI BIOGRAFICZNYMI OPATRYŁ
JAN KASPROWICZ

WYDAŁ Z RĘKOPISU WOJCIECH MEISELS
KRAKÓW — 1931

Wszelkie prawa zastrzeżone

CZCIONKAMI Drukarni Narodowej w Krakowie

S H E L L E Y

HENRYECIE SHELLEY.

(Z poematu „Królowa wróżek“)

Czyż to miłość tak świat opromienia,
Zatrute szyderstw odbija pociski?
Któż mnie gorącą darzy pochwałą,
Cnoty najśłodsza zapłąta?

Czyż żrenica ożywia mi duszę,
Że tak dojrzała w prawdzie i wytrwaniu?
W czyjeż jam oko wpił się miłością
I świat ten silniej ukochał?

Twoje to oko!... Tyś mojem „ja“ czystszem
I mojej piersi ty byłaś natchnieniem,
Twojemi były dzikie pierwiosnki,
Z których spletałem swój wieniec.

Ukryj więc w łonie ten datek miłosny,
Czas niech się zmienia i niech lata płyną,
Ja każde kwiecie, w mem sercu wyrosłe,
Poświęcę tobie jedynie.

KRÓLOWA WRÓŻEK.

(Z poematu „Królowa wróżek“)

Cyt! Co za dźwięczny ton?
Jak pieśń tajemnicza, co drży
Nad opuszczonem zwaliskiem,

Kiedy wiatr jęczy zachodni, a fale
Z ponad wybrzeży wieczornym
Odpowiadają poszumem.
Dziksza, niż nuty skłócone,
Które z gajów i dolin niewidzialnych lir
Wyciskają powietrzni duchowie.

Płynie wśród dźwięków i światła i fal —
Patrzcie! — królowej rusałek wóz!
Rumaki krają powietrzny szlak,
Puszyste skrzydła na rozkaz jej
To roztaczając, to tuląc wnet,
Posłuszne cugłom świetlanym...
Wtem czarodziejka wstrzyma ich bieg,
Miejsce to czarem oplecie
I nad powietrznym przechylona wozem,
Wzrokiem przeciągłym, spokojnym
Spocznie na sennej dziewicy.

Ludzkie przenigdy nie widziało oko
Postaci tak niezwyklej, tak jasnej i pięknej,
Jak ta, co nad dziewiczym przechyla się snem,
Trzy razy różdkę podnosząc swą,
W amarantowy ubraną liść.
Szeroki, złoty miesiąca krąg
Przenikał światłem jej kształt,
Kształt nieskalanej harmonji.
Jej perłowego, przejrzystego wozu
Żaden miesięczny nie zakłóca promień.
To nie był obraz z tej ziemi:
Kto takie ujrzał zjawisko,
Depczące ludzkie świetności,

Ten nie miesięczny widział blask,
Ten nie śmiertelny widział czar,
Ten nie śródnocny słyszał wiatr,
Ten i nie piosnki słyszał ton:
Ten widział kształt czarodziejki,
Ten słyszał dźwięki niebiańskie,
Drżące w samotnem pustkowiu.

Przewiotka czarodziejka! Ta chmurka włóknista,
Co wieczornemi ledwie płonie barwy,
A którą wyteżonym trudno dojrzeć oczom,
Kiedy w mrocznych rozplywa się cieniach,
To lotna suknia jej!
Jej nikły, mglisty kształt
Za lada powiewem drży,
I jasny, srebrny dźwięk
Szeptanych przez nią słów
Snać tylko dla wybranych przeznaczony uszu.

Gwiazdy! Rozlejcie promienną woń!
Żywioty, gniewny wstrzymajcie bieg!
Śpij, Oceanie, wśród wieńca skał,
Otaczających twe władztwo!
Niech się nie zrywa żaden wiew
Nad onem wzgórzem wśród świeżych traw,
Niech nawet babie to lato
W cichem powietrzu śpi!...

Wóz czarodziejski mknął.
Noc była piękna, bezmierny tłum gwiazd
Ozdabiał niebios ciemnawy strop —
A tam od wschodu, z głębin fal

Wyzierał uśmiech porannych zórz.
Wóz czarodziejski mknął,
A gdzie kopyta niebieskie tną,
Powietrze się w ogniste rozpierzchnie skry;
A gdzie bieg ostry płomiennych kół
Zatoczy się na szczyty napowietrznych gór,
Tam błyskawiczny zostaje ślad...
I oto pomknął na skalny wierch,
Bezmiernej ziemi ostatni brzeg,
Tych Andów współzawodnik, których Grzebień ciemny
Sterczy nad skronią srebrzystych mórz.

A pod tym szlakiem, którym mknie wóz,
Cichy, jak dziecko w śnie,
Grzmiący Ocean legł
I wciąż odbijał w zwierciadle swem
Gwiazd migotliwe skry,
Wozu ognisty bieg,
Rana szarawy błysk,
Barwiący welnę chmur,
Przesłaniających świt.
I wóz się płynąć zdał
Przepaścią sklepisk niezmiernych,
Co płoną nad gwiazd milionem,
Farb niezliczonych cieniami lśnią,
Napoły owite wstęgą,
Rozpryskującą się w grad meteorów.

Wóz czarodziejski mknął.
Rumaki, widząc już lotu kres,
Zdały się jeszcze przyspieszać bieg!
Nie rozróżnić już morza; ta ziemia,

Podobna do wielkiego, cienistego koła,
Słońca bezchmurny krąg
Czarnem się toczył sklepiskiem,
Lotnego światła promienie
Pod biegiem lotniejszego łamały się wozu,
Opadając, jak morza rozpienione fale,
Rozbiwszy wał swych pian
O okrętowy tram.

Wóz czarodziejski mknął.
Ziemi odległy krąg,
Najmniejszym snać migotał światelkiem na niebie.
A tam, gdzie wozu tor,
Systemów krąży niezliczony tłum
I gwiazdy w ruchach wieczystych
Sieją wciąż światłość swą!
Dziwny to widok! Jedne z nich
Rogate były jak sierp
Wzbierającego księżycy.
Inne łagodną, srebrną skłą
Błyszczą, jak Hesper śród zachodnich mórz;
Inne spadały z ognistemi kity,
Jak światy, których smutnem przeznaczeniem śmierć,
Inne, płonąc, jak słońce, tam, gdzie tor był wozu,
Wszelaki inny gasiły blask...

O ŻYCIE, ŻYCIE!

(Z „Prometeusza niespełnanego“)

O życie, życie! Dech swój ninie
Miłością wargę twą rozpala,
A przez twój uśmiech, zanim zginie,
Iskrzy się zimna wiewu fala,

Przeto go ukryj, bo inaczej
Oszalał ten, co go zobaczy.

Dziecię światłości! członki twoje
Palą przez sukni się osłony,
Jak te promieni rannych zdroje
Przez obłok jeszcze nie spłoszony.
Gdziekolwiek zjawisz się, w tej bożej
Lśniesz atmosferze wśród przestworzy.

Piękne są inne. Nikt tu ciebie
Nie widzi, głos li nad głosami
Słyszając przecudny: blask cię grzebie,
Jasnością swoją oczy mami,
Każdy cię czuje, jak ja, luba!
Którego wieczna czuje zguba.

Ty lampo ziemi! Gdzie się ruszy
Krok twój, tam mroczny byt się zmienia
W światłość, a skrzydła wszelkiej duszy,
Którą miłujesz, mkną bez cienia,
Aże upadną w nieb okolu,
Jak ja dziś padam, lecz bez bólu.

MÓJ DUCH TO STATEK JEST ZAKŁĘTY.

(„Prometeusz niespętany“)

Mój duch to statek jest zakłęty:
Przez pieśni twej srebrne odmetry,
Jak senny łabędź płynie duch twój zasię:
By anioł siedzi przy mym sterze
I łódź przez głębie wiedzie świeże

Śród wiatru, co się słodkim twoim dźwiękiem pasie.
I płyną, płyną tak na wieki
Gdzieś po zakrętach szumnej rzeki,
Między przepaście, góry, lasy,
Przez raje, pełne dzikiej krasy,
Aż, jako ktoś, na wody morza
Zaniesion we śnie cichym, do fal łoża
Dotrę głębokich, w rozgrane przestworza.

Tymczasem duch się twój skrzydlaty
Uniesie w jasnych dźwięków światy,
Dogoni wiatry, co się górą toczą.
I tak żeglować będziem dalej,
Bez gwiazd, bez toru, pośród fali
Tylko morską wiedzeni uroczą,
Aż, najpiękniejszy ty retmanie,
Łódź moich pragnień cicho stanie
Śród elizejskich wysp szeregu,
Gdzie ze śmiertelnych nikt do brzegu
Jeszcze nie dotarł wśród tych włości,
Co oddychając wokół tchem miłości,
Niebo na ziemię sprowadzają w gości.

Mijamy starość — mroźne lany,
Prujemy męskich lat bałwany,
Płyniem przez morze dni młodych zwodnicze,
Poprzez dziecięcych złud wzierciadło
Ku dniom upalnym mknąć wypadło
Patrząc w narodzin i śmierci oblicze —
Ku onym rajom, gdzie dokoła
Płoną rozkwitłe, wonne zioła,
Do tych wijących się strumieni.

Pośród zacisznych puszczy zieleni,
Gdzie się postacie wdzięczne roją:
Tego na zawsze już zaniepokoją,
Kto raz je widział tak, jak postać twoją.

CHÓRY DUCHÓW.

(Z poematu dramatycznego „Prometeusz niespętany“)

I.

Znikły gwiazdy już blade,
Za błękitne mkną sfery:
Pasterz-Słońce pogania
Ich promienną gromadę:
Ściemnione meteory, do pieleszy swej
Uciekają, jak łania
Przed pościgiem pantery,
Ale gdzie wyjście? Hej!

Tu! Me siły
Do mogiły
Niosą rodzica lat, co się prześniły:
W grób wieczności
Czasu kości
My, cienie zmarłych godzin, złożym w mroczne włości.

Nie im kosy,
Jeno włosy
Rzucaj na całun ten, lej łzy, nie rosy!
Zwiędłe zgoła
Śmierci, ziola
Na zewłok króla Godzin niech padną dokoła!

Jak te chmury
Tam, u góry

Znikają, gdy dzień wkroczy na niebios lazury —
Jak ta piana
Rozpryskana,
Rozwiejmy się przed dziećmi szczęśliwego rana, —
Jak w swym gonie
Wicher tonie
W sen Śmierci, w który tulą własne go harmonje.

II.

Mkną chmurki w przestworze,
Lśnią rosy na ziemi,
Swe fale, swe wały
Rozpienia w krąg morze —
To burze zachwytu, to pragnień są tchy!
To władną wszystkimi
Rozkoszne zapaly,
Lecz gdzie jesteście wy?

Śpiewają znów sosny
Odwieczne swe tony,
Rozdźwiękły potoki
W swój hymn się radosny,
Od łądów, od morza snąć duchów pieśń drży —
Weselem szalony
Grom bije w opoki,
Lecz gdzie jesteście wy?

III.

Hejże, puście się w taniec na powietrznym tym łąnie,
Niech pieśń wasza przenika nieme światła na niebie;
Zaczarujcie dzień chyży, niech tu jeszcze zostanie,
Niech się w nory jaskini nazbyt rychło nie grzebie.

Ongi głodne Godziny, jak psy, żądne posoki,
Dzień, by zwierzę krwawiące, wciąż ścigały bez miary,
I on włókł się i ślaniał, ledwie stawiać mógł kroki,
Sunąc w nocy ciemnościach przez lat puste obszary

Lecz dziś z tańców i pieśni, z jasnych bytów dziś rzeszy
Splótnszy wieniec mistyczny, zataczając swe kręgi,
Niech jak, chmury i blaski, orszak Godzin się spieszy
Zlać się w jedno z Rozkoszą i z duchami Potęgi.

IV.

Płyniem z duszy człeka,
Co, ślepa od wieka
I zła — tak było, — darmo światła czeka.
Lecz dziś, jak głęb morza
Jasna jest i hoża,
Pogodna, silna, jak niebios przestworza.

Z głębi, w której łonie
Radość już dziś płonie
W kryształowych pałaców osłonie;
Z wieżyc, gdzie ma leże
Można myśl, co strzeże
Tańczących godzin, szczęśliwych w wszechmierze.

Z tej ukrytej grotty,
Gdzie z wdziękiem pieszczoły
Miłość swobodnie rozplata wam sploty;
Z wyspy, w blask zaklętej,
Gdzie swemi ponęty
Mądrość-Syrena wabi wam okręty.
Z uszu, z ócz świątyni,
Z której człowiek czyni

Schron rzeźby i Poezji, radując się przy niej;
Z rzeki, której fala
Z szmerem się skryształa,
Gdzie Wiedza kąpie swe skrzydła Dedala.

Szereg lat tak mnogi
Przez krwawe rozłogi,
Piekło zawiści, nadziei, łez, trwogi
Mknęliśmy, by przecie
Nie napotkać w świecie
Wysp, gdzieby szczęścia promieniało kwiecie.

Sandały dziś mamy,
Co nas w inne chramy
Wiodą: z piór naszych spływają balsamy,
Przed naszemi oczy
Ludzka miłość kroczy,
Co swem spojrzaniem wszystko w Raj jednoczy.

Zdobycz już zgarnięta,
Sprawiona rzecz święta,
Nurzać się, wzlatać, nic już nas nie pęta.
Nic nie wstrzyma w pędzie
Aż poza krawędzie
Mroku, co wokół wszechświata się przedzie.

Pomkniemy na tory
W gwiazdziste przestwory
I w ciemne głębie, gdzie królują zmory;
Śmierć, chaos, Mrok Nocy
Naszych lotów mocy
Nie zdzierzą: umkną, jak mgły od burz procy.

Ziemia, wiatr, jak padnie,
Blask i duch, co składnie
I silnie biegiem gwiazd płomiennych władnie;
Miłość, myśl, te siły,
Które Śmierć stępiły,
Będą u naszych stóp się gromadziły.

Na pustkowie łanie
Nowy Świat powstanie,
Li dla mądrości ducha panowanie;
W naszym dziele skorem
Ludzki świat nam wzorem,
Prometejowym nazwiemy go tworem.

ZIEMIA I KSIĘŻYC CZYLI WIZJA NOWEGO ŚWIATA.

(Z „Prometeusza niespełnanego“)

Ziemia

O ty radości, tryumfie, ty szale!
O nie znające tam rozkoszy fale!
Zachwycie, który wszelkie rozsądzasz zapory!
Ha! Jak potęga błogości mnie bierze
I w swej promiennej topi atmosferze
I, niesie, jak wiatr niesie swój obłok w przestwory!

Księżyc

Bracie, co stopy mkniesz cichemi,
Kręgu powietrza ty i ziemi,
Jak blask, duch jakiś od ciebie się rwie,
Rozlewa ciepłem się ognistym
W mojej postaci zimnie szklistem,
Melodją, wonią i miłością tchnie
Wskroś mnie! Wskroś mnie!

Ziemia

O haj! Gór moich jaskinie i zdroje,
Te buchające ogniem skały moje
Jak śmieją się niezgasłym, przegromnym śmiechem!

Pustosze, żleby, przepaście i morza
I niezmierzone te głębie przestworza
Łączą się z niemi głośnem fal i chmur swych echem.
Krzyczą wraz ze mną: ty kłatwo na tronie!
Świat, co w zieleni i lazurach tonie,
Strącałeś w mrok zniszczenia, śląc obłoków ciemnie,
Ażeby deszczem gromowego głazu
Zgruchotać kości mych dzieci, od razu
Oślepić, zmiażdżyć wszystek twór, co wyszedł ze mnie.

Strzeliste wieże, pałace, kolumny
I obeliski, świątynie i dumny
Rząd gór mych, lśniących śniegiem, strojnych w ogni
[zioto;

Mój las, jak morze, mój kwiat, me liście,
Wszystko, co we mnie umiera i żywie,
Nienawiść twoja w marne rozdeptała błoto.

Przeszłaś, minęłaś, niszcząca ty siło!
Jakieś spragnione „nic“ ciebie wypilo —
Kropelkę słonej wody, podaną w pustyni
Ciężbie wędrowców... A dołem i górą
Miłość przenika twą próżnię ponurą:
Uderzył grom w jaskinie i światłość się czyni!

Księżyc

Na skale moich gór zmartwiałej
Śniegi w nurt żywy już stopniały;

Faluje, szumi morze, sieje blasków rój.

Duch z mego serca się wyrывa,

Ciepłem mnie jego siła żywa

Przenika: On jest z ciebie, ten żywota zdrój,

On mój! On mój!

Patrzac na ciebie, widzę, czuję,

Jak kwiat się płoni, zieleń snuje,

Na łonie mem jak życia rozpienia się war;

Gra morze, przestwór gra głęboki

Skrzydlate, rosne mkną obłoki,

O których śnią pękówki! To młodości dar,

Jej czar! Jej czar!

Ziemia

Ona przenika bryły mej granity,

Poprzez korzeni sploty, przez pył zbity

Do kwiatów najwonnejszych, do drzew koron sięga;

Jest tchnieniem wiatrów, porusza obłoki,

Życie wśród zmarłych budzi, z ich głębokiej

Mogily wywołuje ducha jej potęga.

O jak się z grzmiotem i wiatrem wynurza

Z kaźni obłoków rozpętana burza,

Tak ona się wyrwała z mrocznych jam żywota

I, niby ziemi trzęsienie, wstrząsnęła

Chaosem myśli: przed mocą jej dzieła

Ból, trwoga, zawieść pierzchły, jak pobitych rota.

I człek, co dotąd piękne świata wzory

Zniekształcał w lustrze swoim, od tej pory

Odbijał w sobie morze miłości: jej siła,

Jasna, pogodna, zawisła wokoło,
Jak błękit niebios, patrzący wesoło
Nad głębią wód, skąd płynie życia światłość miła.

Człowiek, to dziecię, trądem zarażone,
Co na zwierzęciu chorem spieszy w stronę
Gorących, skalnych żlebów, gdzie tryskają zdroje
Uzdrowiające, wraca do Macierzy
Z uśmiechem szczęścia; ta oczom nie wierzy,
Lecz wnet obleje łzami drogie skarby swoje.

Tak, człek, nie ludzie! Łańcuch niespożyty,
Splecion z miłości i mocy, co byty
Niezwykłą skruwa potęgą: tak słońce
Władnie, jak gdyby jakiś tyran dziki
Nad gromką cizbą gwiazdnej republiki,
Okrutnie prac na niebios rozluźnione końce.

Człek, harmonijna dusza dusz, co bożem
Sama dla siebie jest prawem, jest morzem,
Gdzie wszystkie byty świata spływają, jak rzeki.
Miłość upiększa przecodienne sprawy,
Trud, ból igrają wśród życia murawy,
Jak zwierz, obłaskawieniu, zdało się, daleki.

Duch, co li żądzą pospolitą dyszy,
Trosk samolubnych, trwożnych towarzyszy,
Przepelen, nie, by władać, lecz słuchać stworzony,
Jest już, jak okręt, który miłość ninie
Wiedzie po fali uległej głębinie:
Najdziksze brzegi życia biją mu pokłony.

Wszystko uznaje moc człowieka; głazy
W barwy zaklina jego sen, w obrazy,
Złocistą nie stwarzając, z której płaszc dla dzieci
Przędą dziś matki. I stała się mowa
Pieśnią orficką, przez nią Dedalowa
Harmonja w kształtach, dotąd tak bezdusznych,
[świeci...

Grom jego sługą; niebo mu przedkłada
Gwiazdy, co przezeń, jak owiec gromada,
Zliczone, znaczą bieg swój; burza mu rumakiem,
Mknącym w przestworach. Z głębin słychać głosy:
„Czyż tajemnicę macie wy, niebiosy?“
„Nie! Żadnej! Człek nas odkrył, naszym władnie
[szlakiem!“

Księżyc

Cień białej śmierci znikł z mej drogi,
On, co niebieskie me rozłogi
Otulał ongi w całun, w sen i groźny chłód.
Śród mojej świeżej dziś altany
Kroczy z kochanką ukochany,
Mniej silniej, lecz łagodniej —, jak ów cichy ród,
Twych dolin płód.

Jak ciepło świtu, które ros kryształ, w
Złote, zielone, roztopia i w biały
Kłęb lotnych mgieł przemienia, co dążąc w przejrzysty
Błękit niebiosów, przeżywa południe
I blask wieczorny, by nad morzem cudnie
Rozprzędzać niby wełnę, ognie, ametysty.

Księżyc

Spoczywasz, w jasność otulona
Własnej rozkoszy, co nie kona,

I w niebios uśmiech boski; słońca i gwiazd rój
Zlewają na cię moc i siłę,
Życie światłością swą opile,
A z ciebie płynie na mnie twoich blasków zdroj
I mój jest, mój!

Ziemia

Pod mego cienia mroczną piramidą,
Której wierchołki ku niebiosom idą,
Sen śniący czarodziejski, o zwycięstw radości
Szepcę, jak młodzian, co, w cieniu swej własnej
Leżąc urody, która w blask go jasny
I ciepło swe otula, żyje tchem miłości.

Księżyc

Jak cichną serca, gasną oczy,
Kiedy w miłosnym się jednoczy
Całunku dusza z duszą, tak i ja, gdy cień
Twój padnie na mnie, milknę cały,
Ty ziemio, globie przewspaniały!
Miłością twą nakryty, zbyt pełen — bez drzeń —

Twych technień, twych technień!
Przecudny świecie, co bez końca
Toczysz swój krąg naokoło słońca,
Kulo błękitna i zielona!
Wobec twych blasków każda kona,
Życiem i światłem obdarzona,
Gwiazda wśród wszystkich gwiazd na niebie!
O, ja podążam obok ciebie,
Twój kryształowy ulubieniec,
Jakieś potężnej siły jeniec,

Co go przyciąga, jak w magnesie
 Moc ta okryta, co wciąż rwie się,
 W Raj biegunowy. Bez ustanku,
 Jak ta dziewica przy kochanku,
 Co nie udźwignie snąć nadmiaru
 Miłości w sercu, pełna czaru
 I upojenia, tak przy tobie
 Ja ciągle krążę, o ty globie,
 Tak zapatrzone w oczy twoje,
 Ciągle się cisnę: O, tak roje
 Menad cisnęły się jarzące
 Ku onej czaszy, którą ręce
 Agawy ongi podnosiły
 W Kadmowym lesie. Druhu miły,
 Gdziekolwiek loty cię prowadzą,
 Ja spieszę, lecę za twą władzą,
 Pośród niebieskiej pędzę głuszy!
 Chroni mnie uścisk twojej duszy
 Przed żądzą głodnych tych pustoszy.
 Majestat, piękność, żar rozkoszy
 Z twojego biorę ja spojrzenia:
 Tak zakochany się przemienia,
 Lub kameleon, według wzoru,
 Na który spojrzy; tak w przestworu
 Błękit fijołek zapatrzone,
 W te lazurowe nieboskłony,
 Bierze ich barwę; tak i nieprzebyte
 Kłęb mgieł rozlewa się w przejrzysty
 Obłok i lśni, jak ametysty,
 Gdy o zachodzie gór otuli szczyty,
 A na ich śnieżnym zwale
 Słońce już gaśnie —

Ziemia

Zasię dzień szepce swe żale,
 Że tak się stało właśnie!...
 Luby miesiącu, głos twój na mnie spada,
 Jak na żeglarzy jasność twoja błada,
 Kiedy w noc letnią mknie, gdzie wysp gromada
 W ciszy wieczystej spoczywa.
 Luby miesiącu, dźwięk twój kryształowy
 Wnika w mą głębię, poskromić gotowy
 Żądzę tygrysią i lek ronić zdrowy
 Na ranę, co boli mnie, żywa.

ŚPIEW BEATRYCZY.

(Z dramatu „Rodzina Cencich”*)

Cóż mi twój uśmiech i łez twych zdroj,
 Gdy sen padł dziwny na żywot mój!
 Cóż mi twój uśmiech i lzy twe cóż,
 Gdy zimne ciało snąć w trumnie już?
 O bądź, fałszywy, zdrów!
 Co znaczy szelest ów?
 Wąż w tym uśmiechu, mój drogi ty,
 Gorzką trucizną są twoje lzy!

Gdyby śmierć miała twą słodycz, śnie,
 Lub gdybyś w śmierć się ty zmienił mnie,
 Zamkłąbym oczy bolesne wraz,
 By się nie zbudzić na wieczny czas.

*) Patrz: Percy Bysshe Shelley „Rodzina Cencich”. Przekład Jana Kasprówicza. Lwów 1912, Nakładem Tow. Wydawniczego.

O świecie, żegnaj mi!
Słuchaj, jak dzwon tam brzmi!
„Ty i on idźcie“, tak mówi tu,
Czy sercu lekko, czy ciężko mu!...

SŁOWA POD MELODJĘ INDYJSKĄ.

Budzę się ze snu o tobie,
Z pierwszego się budzę snu,
Gdy gwiazdy się błyszczą na niebie,
Gdy wiew w cichym budzi się tchu!
Budzę się ze snu o tobie
I duchem zrywają się nogi —
Ach! Dokąd mnie wiodą? Do ciebie,
Pod okna twe, skarbie mój drogi!

Przelotny wiatr zwolna zanika
Śród ciemnych, spokojnych fal;
Jak senne marzenia, uchodzi
Zapach czampaku w dal.
Żałosna skarga słowika
Zamiera śród jego łona,
Jak ja zamieram przy twojem,
O moja ty ulubiona!

Upadam i mdleję i ginę,
O, podnieś mnie, podnieś z tych traw!
W deszcz pocałunków zmień miłość,
Pieśń wargi i oczy i zbaw!
Patrz, lice mam zbladłe i sine,
Me serce — największa to męka,
O przytul do swego je serca,
Niech przy niem całkiem już pęka.

DO SKOWRONKA.

I.

Cześć ci, wesoly duchu!
Nie byłeś nigdy ptakiem,
Co serca pieśń w swym ruchu
Podniebnym śle nam szlakiem,
Niewymuszonej sztuki obdarzoną znakiem.

II.

Do góry, wciąż do góry
Wznosisz się ponad nami,
Jak błysk ognistej chmury;
Śpiewasz, mknąc błękitami
I mkniesz, nieustannemi darząc nas śpiewami.

III.

Kiedy się zorza pali
Zachodzącego słońca,
W obłoków złotej fali
Ty mkniesz i mkniesz bez końca,
Rozkoszy bezcielesnej uskrzydłony gońca.

IV.

Tuli całego ciebie
Zachód bladoczerwony,
Jak w dniu gwiazda na niebie,
Tak oczomś mym stracony,
A tylko ciągle słyszę twe radosne tony.

V.

Radosne przenikliwie,
Jak srebrnej kuli strzały,

Gdy w jasnym dnia przedziwie
Swe żary gdzieś podziały:
Nie widzieć, tylko odczuć można blask ich cały.

VI.

Pełne są twojej mocy
I ziemia i przestworza:
Tak księżyc wstaje w nocy
Z jedynej chmurki łoża
I wnet zalewa niebo jego światłość hoża.

VII.

Któż ci dorównać zdoła?
Kim jesteś ty, niewiada:
Z jasnych obłoków czoła
Taki o! blask nie pada
Jak pieśni twej promienna, dźwięcząca kaskada.

VIII.

Jak dusza ty pieśniarza,
Co, w myśli tonąc fali,
Swobodne hymny stwarza,
Aż świat się w swej oddali
I trwogą i nadzieją nieznaną rozpali:

IX.

Jak z pałacowej wieży
Nucąca pieśń królewna —
Miłość w jej sercu leży,
Tęsknica trapi rzewna:
Jest słodka, by kochanie, ta jej harfa śpiewna:

X.

Jesteś jak żuczek skrawy,
Co w rośnej lśniącej dolinie,
Śród kwiatów i śród trawy
Kryje swój blask w gęstwinie
I potem gdzieś z przed oczu od razu nam ginie:

XI.

Lub jak pękówka róży,
Z której się kwiat wyłoni,
Kiedy ją słodko znuży
Wiew ciepły w swej pogoni,
Ażeby go poila miodami swej woni.

XII.

Wiosennych deszczów dźwięki
Na rozszumiałym łanie,
Kwiat rosą zlany miękki —
Nic się już nie ostanie
Przy tobie, tak jest wdzięczne twe słodkie śpiewanie.

XIII.

Ptaku czy ducha z nieba,
Ucz-że nas w swej godzinie,
Jak o miłości trzeba
Nucić nam i o winie —
Ja-ć pieśni równie boskiej nie słyszałem ninie.

XIV.

Czem triumfalne chóry,
Weselne czem hejnały,
Kiedy się pnie do góry

Twój boski hymn wspaniały —
Czujemy, że w ich dźwięki braki się wmieszały.

XV.

Przy pieśni twych kryształe
Czem źródlisk są odgłosy?
Czem pola są, czem fale,
Czem góry, czem niebiosy?
Czem miłość jest przy twojej? Czem bolesne ciosy?

XVI.

Wesołość twoich pieni
Nie znuży tu nikogo;
Słuchamy niezmęczeni,
Gdy śpiewasz nam tak błogo;
Znasz miłość, lecz nie miłość, co nas dręczy srogo.

XVII.

Na jawie albo we śnie
Znasz sens głębiej odczuty,
Niżli śmiertelnych pieśnie,
Czem śmierci ton jest luty,
Że falą niezmaconą płyną twoje nuty?

XVIII.

Troszczymy się zbyt wiele,
Co było, co nas czeka;
Ból mąci nam wesele,
Najszczęśliwszą radość człeka,
Pieśń naszą najdźwięczniejszą troska mgłą powleka.

XIX.

Gdybyśmy się umieli
Zawiści zbyć i trwogi,

I gdyby nam pościeli
Zdrój łez nie zlewał mnogi,
Dosięgałby pieśń nasza twej radosnej drogi?

XX.

Żadne tu inne miary
Twejt sztuki nie oniemia:
Niżli mądrości czary,
Co w ludzkich księgach drzemia,
Jest lepsza twa poezja, ty, co gardzisz ziemią.

XXI.

Naucz mnie choć przez połt
Wyśpiewać na tej glebie
Taki sam hymn wesoły,
Jako ten twój na niebie,
A świat mnie będzie słuchał, jak ja słucham ciebie.

OBŁOK.

I.

Świeży deszcz dokoła
Na spragnione ziola
Zabieram morzu i rzece;
Mam też chłodne cienie
Na liści znużenie,
Drzemiących w południa spiece.
Na skrzydłach swych niose
I otrząsam rosę
Dla pączków tych bez końca,
Gdy każdy z nich leży
Na łonie macierzy
Tańczącej wokół słońca.

Mam też gradu biecze
Na łąnów oblicze
I smagam je w zawieję
I potem znów jeszcze
Przemieniony w deszcze,
Śmiechem się grzmotu śmieję.

II.

Na gór strome brzegi
Przesypuję śniegi,
Że ledwie dyszą smreki;
Białe mam posłanie,
W noc kładę się na nie,
Nie szczędzi mi wicher opieki.
A w zamku mym w górze,
Na powietrznym murze
Mój pilot, błyskawica,
Zasię grzmot w swej kaźni
Zżyma się i drażni,
Przesrogie marszczy lica!
Nad ziemie i morza
Wiedzie mnie w przestworza.
Mój pilot coraz dalej:
Bodźcem jego ruchów
Ukochanie duchów,
Żyjących w morskiej fali.
Nad wierchy i turnie
Unosi się górnice,
Nad doły i nad łąny,
Nad rzeki, nad lasy,
Gdzie mniema, w te czasy
Duch mieszka ukochany.
A ja się w tę chwilę

Z nieb uśmiechem miłą,
Aż spadną deszczu piany.

III.

A gdy Wschodu pora
Z okiem meteora
Roztoczy skrzydła skrawe,
On mi wskoczy właśnie,
Kiedy jutrznia gaśnie,
Na mą płynącą nawę.
Jak na karku góry,
Którą wstrząs ponury
Wprawia trzęsienie ziemi,
Orzeł czasem spocznie,
Świeący widocznie
Skrzydłami złocistemi,
Kiedy zachód z łoża
Płonącego morza
Ciszą, miłością zionie,
Gdy wieczornej pory
Posępne bisiory
Pokryją niebios tonie,
I ja w tę godzinę
Skrzydła swoje zwinę,
Do snu, jak gołąb, się skłonię.

IV.

Ta srebrzystolica
Przestworów dziewica —
Miesiącem ją zwa na ziemi —
Polyskując, sunie
Po mem wiotkiem runie,
Powiewy wzdętem nocnemi.

A gdzie, mknąc swą drogą,
Lekką tknie się nogą,
Znaną li przez anioły,
Płócien w mym namiocie,
Od razu gwiazd krocie,
Jak złotoskrzydłe pszczoły,
Z chciwością niezwłoczną
Zaglądać rozpoczną
Do rozwiewnego środka:
I mnie z tej uciechy
Wdzięczne schwycą śmiechy,
Porwie się przędza wiotka.
I w krąg świat daleki,
Jeziora i rzeki,
Jak gdyby snąć przezemnie
Rzuciły niebiosy,
Tak im srebrnowłosa
Księżyc rozprasza ciemnie.

V.

Ja złotem tron słońca
Pokrywam bez końca,
Księżyc perlami stroję,
Pod moją rozwiewą
Wulkany ciemnieją,
Drżą gwiazdy na hasła moje.
Śle wicher swe chłosty,
Szerokie wnet mosty
Tamę ponad głębiemi,
Słoneczne promienie
Zamieniam w sklepienie,
Turnice ich słupami.
Triumfalnym łukiem,

Poprzez który z łukiem
Toczy się ma potęga
Gdy przestworów moce
Rydwan mój druzgoce,
Tęczy stubarwna wstęga.
I ziemia się śmieje,
Gdy słońce w zawieję
Po blaski swe znów sięga.

VI.

Rodzicami memi
Morze i krąg ziemi,
Pokarm mam powietrzny,
Wnikam w moim biegu
Do morza i brzegu,
Zmienny, ale wieczny:
Bo jakkolwiek mamy
Niebiosa bez plamy
Kiedy deszcz już nie rosi,
Choć wiatru robota
I słońca dłoń złota
Pałac błękitny wznosi,
Ja spoczywam sobie
Z uśmiechem w mym grobie
I rwę się z swego schowu,
Jak dzieciątko z łona,
Jak dusza więziona,
I niszczę grób swój znowu.

ARETUZA.

Aretuza z łoża
Śniegu mknie do morza
Przez Akrokeraunji stoki.

Przez chmury, urwiska,
Przez złomy się ciska,
Wypasa swe owce-potoki.
Przez turnie, przełęcze
Mknąc, włosów swych tęcze
W strumienne zanurza tonie.
Gdzie suną się jej nogi,
Zielenią rozłogi
W zachodniej się błyszczą stronie.
Tak skacze, tak rwie się,
Tak szumy swe niesie,
Łagodne, jak cenne westchnienia;
Niebo się uśmiecha,
Ziemi niepociecha,
Gdy w fale się morskie rozpienia.

Wtem Alfeus młody
Rzuca swoje lody,
Trójzębem rozbija skały,
Tak wymierza razy,
Aż pękają glazy,
Aż drży Erymant cały,
A wiatr południowy
Chowa się w parowy
Gdzieś poza urny śniegu.
Trzęsienia i grzmoty
Skalne łamią ploty,
Co fale tamują w biegu.
Poprzez rwącą wodę
Widać włos i brodę:
Strumieni bóg nimfę goni,
Chce ją dopaść z góry,

Nim przez skalne mury
W doryckiej się gubi toni.

„Ratuj, wiedź mnie, boże,
Ukryj mnie w swe morze,
On mnie za włosy już bierze!“
I Ocean słyszy,
Błękitami dyszy,
Błagania jej spełnia szczerze.
Z prośbami temi
Biała córka ziemi
Za jego się topi wolą.
Za nią mkną jej fale,
Nie łącząc się wcale
Z doryckich głębin solą.
Plamka na zwierciadle
Błękitów, zajądło
Alfeus ją goni szalony:
Tak orzeł wśród burzy
Ścigać się nie nuży
Gołębia wskroś chmurne przesłony.

Popod sklepieniami,
Gdzie bogowie sami
W perłach zasiedli na tronie,
Przez gaje koralu,
Gdzie bezlik opali
Najkosztowniejszych płonie;
Pośród blasków zorzy,
Co z falami tworzy
Światła przebarwne sieci;
Popod ciemne groty,

Gdzie wód połysk złoty
Jak zieleń lasów się świeci;
Przez szumne głębiny,
Szybciej niż delfiny,
Przez łąd, w urwiska żyzny,
Przez góry ucieka
Za rzeką ta rzeka
Do swej doryckiej ojczyzny.

Teraz z wierzchów Enny
Rwie się prąd ich zmienny
W spłonione rankiem padole;
Jak przyjaciół dwoje,
Złączone znów zdroje
Rozhowor wiodą wesoly;
Skoro słońce wstanie,
Rzucają posłanie
W skalnym, spadzistym parowie
I pędzą w południe
Lasem, gdzie lśni cudnie
Złotogłów przy złotogłowie.
Zasię w nocne mrocznie
Każde z nich wypocznie
U Ortygijskich wybrzeży.
I tutaj, w skon głuchy
Pogrążone duchy,
Ta para kochanków leży.

MIMOZA.

Część pierwsza

Mimoza, kwiat czuły, w ogrodzie patrz! rośnie,
Rosami przez powiew karmiona miłośnicie,

Ku światłu otwiera swych liści wachlarze,
A zaś się przed nocą zamykać im każe.

I ponad ogrodem w krąg wiosna powstaje,
Miłości duch luby roztacza swe raje,
I z ziemi się łona z zimowych snów zrywa
Wszelaki kwiat młody i trawa już żywa.

Lecz niema rośliny, co rośnie, jak łania,
W południe słodkiego spragniona kochania,
Drżałaby w ogrodzie, na polu, na łące,
Jak czułe to kwiecie, samotnie rosnące.

Fiołki i śnieżki powstają ze ziemi,
Gdy pierwszy deszcz zrosi kroplami je swemi,
A dech ich się miesza z zapachem, co, świeży,
Jak słodka muzyka, od łąk ku nam bieży.

A potem tulipan i z nim anemony
I narcyz, urodą największą darzony:
Przygląda się w zdroju, zatopion w swe oczy,
I ginie z podziwu, że tak jest uroczy.

A potem konwalia, prawdziwa Najada,
Młodością tak piękna, a żądzą tak blada,
Jasnością swych dzwoneków rozchwianych się mieni
Śród liści namiotów o słodkiej zieleni.

Hiacynt różowy, błękitny i biały,
Co swemi dzwonekami wydzwania hejnały,
Tak cudnie dźwięczące, że zmysły nam woni
Odurza falami, gdy mile tak dzwoni.

I róża-rusalka wciąż, kąpać gotowa
Swe kształty, swej piersi płonącej nie chowa,
Odsłania ją ciągle, aż wiewom się poda
I cała jej miłość i cała uroda.

I lilja-menada podnosi kielichy —
W kolory je stroi księżycza blask cichy —,
Aż poprzez mgły lśniące, ku niebu, wysoko,
Wystrzeli jej gwiazda, płonące jej oko.

I jaśmin przewątlł i kwiat tuberozy,
Najpierwszy swą wonią, i wszelkie obozy,
Przeróżnych się roślin — najrzadsze wręcz zioła —
W tym oto ogrodzie rozsiadły dokoła.

A zasię na rzeki falistym tem łonie,
Co w blasków zielonych i złotych koronie
Lśni, błyszczy pod gęstwą splątanych gałęzi,
Przez które się niebo wyrzywa z uwięzi —

Nenufar rozkłada szerokie swe liście,
Pękowia się jego promienią gwiazdździecie,
A wokół łagodne kołyszą się fale,
Przesłodka się mieniać i szumiąc wspaniale.

A węże ścieżynek, mchą kryte i trawą,
To w lewą przez ogród wiodąc, to w prawą,
Otwarte są, jedne na słońce i wiewy,
A drugie pod drzewa się tulą i krzewy.

A z nich się wychyla tłum jaskrów, stokroci,
A każdy, jak z bajki złotogłów się złoci,

I drobne kwiatuszki, błękitne, różowe
I białe, podnoszą o zmroku swą głowę,
By zuczek od rosy miał schrony gotowe.

A jak się dziecina z budzącem się okiem
Uśmiecha do matki, co wprzód urokiem
Swej pieśni do snu ją tuliła, a potem
Musiała obudzić, tak kwiaty, przelotem

Niebiańskich powiewów w swym Raju zbudzone,
Klejnoty, światełkiem górnika rozłśnione,
Do nieba się śmieją, a każdy się słońca
Mackami jasnemi upaja bez końca.

Albowiem z nich każdym szczęśliwość owłada,
Że chłona i światło i zapach sąsiada:
Jak młodym kochankom czas życie umiła,
Gdy wspólnej miłości upływa im chwila.

Atoli mimoza, co mało li może
Z swej zwrócić miłości, aż w każdym jej porze
Odczuwa głęboko, dostaje snąc więcej,
Niż ten, co ją kocha od ognia goręcej.

Mimoza nie płonie, jak inne lśni ziele
Zapachu i blasku wszak nie ma w udziale,
Miłuje, jak miłość: jej dusza, tak żywa
Pragnieniem miłości li za nią się zrywa.

Tych lekkich powiewów gromada szepeząca,
Co nutę niejedną ze skrzydeł swych strąca;

Nie jeden ten promień, co z kwiatów wychyla
I zapach ich gwiazdek naokół rozdziela;

Skrzydlate owady, co mkną, jak okręty
Złociste, przez słońca łyskliwe odmęty,
Z ładunkiem jasności i woni płynące
Po żywej zieleni, po łśnistej tej łące;

Niejedne mgieł chmurki, co w kwiatów koronie
Jak ogień się błyszczą, nim słońce zapłonie
I potem po sferach obłocznych się gonia,
By każdy obłoczek napelnić swą wonią;

Rozdrżane wyziewy, w słoneczne południe
Po cieplej tej ziemi wijące się cudnie,
Po której dźwięk każdy i dźwięk się rozszerza
Z poszumem rokicin, co drżą u wybrzeża:

To wszystko anielską li służbę stanowi,
Ażeby nieść radość Mimozy kwiatowi,
Tymczasem leniwie dnia chwile się wloką,
Podobne bezwietrznym na niebie obłokom.

A wieczór, gdy z nieba opadał z swym znojem,
By w krag był miłością, a ziemia spokojem,
Gdy rozkosz w mniej jasną, lecz głębszą się zmienia,
A słońce snu światom użyczy już cienia;

Gdy tuli się ptactwo i owad i zwierzę,
By w snu Oceanie spokojne mieć leże,
W tem morzu, co nigdy swych fal nie ustali,
Jakkolwiek zostawia świadomość swej fali,

(Słyszałeś jedynie głos miły słowika,
Śpiew coraz to miłszy, gdy słońce zanika,
Śpiew rajski, co ze snem Mimozy swe tony
Zespala w dźwięk jeden, uroczy, wysniony):

Mimoza się kładzie najpierwsza w tej porze,
Na łonie spokoju, do snu ma swe łoże;
Strudzone rozkoszą nadobne to dziecię,
Najsłodsze ze wszystkich, najmilsze jest przecie
Tej chwili, gdy noc ją w uściski swe wplecie.

Część druga

W tem miejscu uroczem potęga się chowa,
Jak Ewa wśród Raju: Władczyni-Królowa,
Dla kwiatów tem była, czem Stwórca na niebie
Dla gwiazd, których rzeszę ma wciąż koło siebie.

Cud w swoim rodzaju, szlachetna to pani:
Nikt pięknych jej kształtów i duszy nie zgani,
Tak łączy je z sobą; w swych ruchach i minie,
Prawdziwie, jak kwiecie na morskiej głębinie.

Pilnuje ogrodu i w dniu i wieczory,
Zaś popod miesięcznych tych nieb meteory
Witają jej kroki uśmiechem, migocą
Jak światła nieb zornych, gdy staną przed nocą.

Nie miała tu nigdy ziemskiego kompana,
Lecz oddech jej drżący, rumieńcem twarz złana,
Świadczyły, gdy ranek spił sen z jej powieki,
Że Raj to był raczej, niż sen, snom daleki.

Snać dla niej duch jakiś nadobny i miły,
Zszedł z nieba, gdy gwiazdy się ze snu zbudziły;
Onać jeszcze jest przy niej, jakkolwiek go żywa
Promienność słoneczna już przed nią zakrywa.

Chcąc trawy nie skrzywdzić, chodziła z ostrożną;
Jej pierś się podnosi, więc słyszeć by można,
Jak powiew, co lekko owiewa jej lice,
Przynosi jej rozkosz, zostawia tęsknicę.

Gdzie tylko się tknęła stopami lekkimi,
Jej włos powłóczył wnet zmiatał ze ziemi
Trawiastej jej ślady, rozwiewne, jak cienie:
Tak słońce wygładza fal morskich strumienie.

W ogrodzie tym kwiaty, ja wierzę w to święcie,
Cieszyło ogromnie to stóp jej dotknięcie,
Jak gdyby duch jakiś, z jej palców idący,
Przenikał ich kształty, promienny, gorący.

I wodę ze źródła prawicą swą zrzędną
Rozkrapla na kwiat, gdy w słońcu już więdną;
Z kielichów ich strząsa te deszczu brzemiona
Gdy burza nadeszła, gromami pędzona.

Podnosi ich główki ta ręka jej szczerą,
Łoziną, gdy trzeba, i prętem podpiera;
Nie mogłaby lepiej pilnować swych dziątek —
Śnać dzieckiem jej własnym jest każdy ten kwiatek.

Robactwo żarłoczne, zabójcze owady,
To wszystko, co brzydkie i wstrętne bez rady,

W indyjskim koszyku z ogrodu precz niesie
I w dzikim, dalekim porzuci je lesie.

W koszyku, gdzie trawy i polne są zioła,
Na jakie się zdobyć jej ręka wydała:
O biednych wygnańców jej serce ją boli,
Co grzeszą, lecz grzeszą przeciwko swej woli.

A pszczołka i ona błyszcząca się jętka,
Jak droga błyskawic, w swym locie tak prędką,
I ćma, co niewinnie ziół wargą się dzieli,
To służba jej cała, jej konwój anieli.

Niejedną mogiłę barwnego motyla,
Skąd owad ten z snu się do życia wychyla,
Zostawia w spokoju: na cedru tej korze
Przewonnej, a gładkiej zaczepiać się może.

Aż w późne dni lata od wczesnych dni wiosny
Spełniała w ogrodzie swój obrzęd miłosny;
Lecz zanim liść pierwszy poczerlniał w swej krasie,
Już piękna dziewczica nie żyła w tym czasie.

Część trzecia

Trzy dni były kwiaty w tym rajskim ogrodzie
Jak gwiazdy, gdy księżyc się budzi, lub wodzie
Podobne bajońskiej, nim głąb swą rozrusza,
By lśniła falami przez dym Wezuwjusza.

A zasię w dniu czwartym uczuła Mimoza,
Jak śpiewów pogrzebowych zbliżała się groza:

I marsz niosących słyszała już kroki
I szloch żałobników i jęk ich głęboki.

Posępne melodie i westchnień ton głuchy
I śmierć ta, sunąca powoli, jak duchy,
I woń przejmująca, tak chłodna i śliska,
Co z szpar się trumiennych w tej drodze przeciska;

Ta trawa ściemniała i kwiaty wśród trawy
Zaczęły lży ronić, gdy orszak szedł łzawy,
Wiatr kładł im w te tropy ich szelest żaloszny
I poniósł, by mogły zaszumieć nim sosny.

I ogród tak piękny niedawno, umiera,
Jak ciało tej, która, nadobna i szczerą,
W nim duszą tu była. I wprzód, by kwiat świeży,
Leżała, jak we śnie, a teraz tak leży,
Że nawet najtwardszy już leż nie zdzierzy.

I lato uciekło w objęcia jesieni
I w mgłach porankowych przymrozek się mieni,
Choć słońce południa w promiennej swej mocy
Drwi sobie z zdobyczy podstępnej tej nocy.

I róży listeczki, jak śnieg czerwony,
Na mchy się purpurą pokładają, na trawy;
Lilije powiedły, straciły swe znicze,
Poblądły, jak czełka zmarłego oblicze.

Rośliny indyjskie, w swej barwie i woni
Najśłodsze ze wszystkich wśród ziemskich tych bloni,
Dzień po dniu ginęły; dla wspólnej mogiły
Swój listek po listku co chwila traciły.

Liść szary, czerwony, brązowy i złoty
I biały, jak białość umarłej istoty,
Podobien jest duchów zastępom i górą
Przeraża ptaszęta, mknąc z suchą wichurą.

I burza skrzydlate rozbudza nasiona
Z kolebki ich życia — wśród chwastów jest ona —,
A te nie jednego mają się ziola,
Ażeby już wspólnie gnić w ziemi dokoła.

Te wodne lilije na falach potoku
Z łóżytek swe kwiecie strącają co kroku,
A wir je roznosi, bawiący się niemi,
Jak wichur to czyni w powietrzu z innemi.

I potem deszcz przeszedł ze swoją zawieją:
Łóżycki stargane pognały aleją,
Bezlistne altany, już dziś pasożyty,
Straciły wraz z kwiaty lubemi swe byty.

Pomiędzy wichurą a śnieżną kurniawą
Niejeden chwast szpetną zaczyna rość ławą,
O liściach plamistych — obrzydłe to plamy,
Na grzbietach my węzów i ropuch je mamy.

I osty, pokrzywy, blekoty, cykuta —
Ta cała złych chwastów czereda zatruta —
Poczęły swe puste podnosić piszczele
I trupie zapachy rozszerzać prześmiele.

Rośliny, o których pieśń mówi ze wstrętem,
Rozlazły się cielskiem potwornem, pomiętem:

Kolczaste, mięsiste, nabrzmiące i sine
O cieczy ohydnej pokryły równinę.

I bedłki i grzyby, w śnieć hojne i pleśnie,
Ze ziemi jak męty się podnoszą obleśnie,
Wybladłe, mięsiste, jak gdyby umarli
Powstali z swych grobów i w życie się wdarli.

Rzeżucha i ikra, wypryski i trądy
Zgęściły potoczek, wstrzymały fal prądy,
A zasię przy ujściu z korzeni rogoży,
Skłębionych jak węże, zapora się tworzy.

Co chwila, gdy cisza ogarnia okręgi,
Wyziewów się wznoszą zabójcze potęgi;
Porankiem je widzisz, odczuwasz z południa,
A nocą mgła gwiazdom ich jasność utrudnia.

A błędne ogniki, w słonecznej osłonie
Nie widne dla oczu po martwym zagonie
Pelzają i krążą, a gdzie-li wypoczną,
Ich jad żre gałęzie, śmierć niesie bezzwłoczną.

Jak biedna wygnanka, lży roni Mimoza,
A w fałdach jej listków wszelaka jej śloza
Od razu, by niszczyć tę resztę ogrodu,
Przemienia się dla niej w zabójczą śnieć lodu.

I lilje opadły, i ostrym toporem
Wichr pociął gałązki na ziele tem chorem,
I sok do korzeni z żył wszystkich ucieka,
Jak krew mknie do serca mrącego człowieka.

Zjawiała się zima; — wichr był jej batogiem, —
I palec do warg swych przyłoży i srogiem
Zagarnie spojrzeniem siklawy, że one
U pasa jej chrzęszczą, w kajdany zmienione.

Jej oddech to łańcuch, co trzyma, bez brzęku,
Powietrze i ziemię i wodę w jej rękę.
Przybyła, z Północy ją przywiózł na wozie
Wiatr groźny, dziesięćkroć wzmożony w swej grozie.

Do śmierci już żywej podobne ziół plemię
Przed mrozem schroniło się rychło pod ziemię.
Ich schylek i nagła ucieczka — w istocie
To jakby duch jaki w pospiesznym przelocie.

A pod korzeniami Mimozy — niestety!
Ginęły od głodu i myszy i krety;
I ptactwo, z mroźnego zleciawszy ukrycia,
Na nagich konarach zawisło bez życia.

Nasamprzód deszcz skropił obmarzłe konary,
Ażeby je rychło w lód zmienić; opary
Podniosły się potem i razem z tym deszczem
Wnet w zlodowaceniu się łączy złowieszczem.

A wichur północnych potęga zdradziecka,
Jak wilk, który węszy w pobliżu imać dziecka,
Ku drzewom się skrada i z dołu i z góry
Otrząsa je z lodu mroźnemi pazury.

Gdy zima minęła, wróciła zaś wiosna,
Mimoza już tylko ruina żałosna,

Zaś pokrzyk i blekot, trucizną opily,
Powstały, jak trupy, z zburzonej mogiły.

Zakończenie

Zali Mimoza, czy to, co płonie,
Niby duch jaki, w jej listków łonie,
Nim śmierć je swoim spali żarzeniem,
Czuje tę zmianę, ja tego nie wiem.

Albo czy Pani szlachetnej dusza,
Gdy się już w ciele swem nie porusza,
Ona, co była miłością cała,
Zeszła się z smutkiem, gdzie radość siała,

Nie śmiem powiedzieć. Lecz na tym świecie,
Gdzie li bój, tępość i błąd znajdziecie,
Gdzie wszystko tylko czczym jest pozorem,
A my snu cieniem, w tem życiu chorem

Pociechą będzie mieć skromną wiarę,
Że wszystko czczą nam przedstawia marę,
Że i śmierć będzie dla nas tem samem,
Co wszystko inne: pustym omamem.

Ten opór cudny, ta białogłowa,
Woń, która tyle słodczy chowa,
W rzeczywistości nigdy nie giną,
My tylko inni każdą godziną.

Rozkosz i piękność i miłość szczerza
Ani się zmienia ani umiera;

Nam niedostępna dotąd ich siła,
Bo światłość jeszcze w nas nie wstąpiła.

WIDZENIE NA MORZU.

To groza nawałnicy. Zmięte zagli płótna
Na drobne zdarła strzępy ta burza okrutna.
Z wyziewów ciemnej nocy puściły się deszcze,
A kiedy potop łyskami odezwał się jeszcze
Od nieba, tak w te tropy czarne trąby wody
Podnoszą się i łamią swe olbrzymie kłody,
Jak gdyby ogrom niebios, ich słupy straszniemi
Trzymany, miał się zapaść z sobą i niemi
Zgnieść morze: i z trzęsieniem i ogromnym grzmotem
W swój grób się zapadają, ale rychło potem
I gromy i bałwany umilkną, jedynie
Ich echo, wiatr, zostaje. Teraz okręt płynie
Na strzępach zdartej burzy, ażeby u góry
Pogrążyć się w przesłonach gromonośnej chmury.
A teraz, niesion falą, którą na kawały
Wichr stargał, mknie i głębiej zapada się cały.
A ściany falującej doliny, straszliwie
Spokojnej w swoich głębiach, że wiatr, na tej niwie
Szalejąc, jej nie wzruszy, są jako zwierciadła
Zniszczenia, zawieszone ponad nią. A zsiadła
Tymczasem piana morska, zmarłych ogni droga,
Lub chaos gwiazd lub rzeka płomieniście sroga
Żelaza topionego, jasnością okala
I grozą ciemny okręt; albo niby fala
Siarczanych, bladych ogni, chlusta nań swym żarem.
Bałwanów piramidy, na czubach bezmiarem
Śnieżystych pian obsiane, lśnią się, jakby chciały
Łyskaniem od nieb odciąć morza gmach wspaniały.

Snać okręt się rozbije! Tak, jak drzewo, pęka,
Gdy korzeń jego zetrze straszna wstrząśnięć ręka,
Nim jeszcze podmuch wiatru połamie gałęzie.
Potężny grom, stargawszy górą swe uwięzie,
Potrzaskał maszt, że sterczy czarny, połamany.
Zniszczenie chłoną szpary; przez zbite bałwany
Żywego morza kadłub umarły się toczy:
Jest jak ów trup wśród piasku, który chce mu oczy
Coprędzej wyżreć do cna. Tymczasem w odemtu
Naporze rozszalałym pękło dno okrętu:
Tak pęka lód, gdy powiew nad wodą pustyni
Zawieje w czas roztopów... A cóż tam się czyni?!
Czyż to pod przednim masztem, jak zmarłych gromada,
Co padli na wylomie, z załogi się składa?
Tygrysy dwa, co w chwili, gdy je przestrach głuchy
Ogarnął, z przerażenia porwały łańcuchy,
(Co teraz przytłacza, dodało im siły),
Tak oto obok siebie w kabłąk się skuliły
I ostrzem swych pazurów wpijają się w ściany
Okrętu rozbitego... To wszystko?

Strzaskany

Zrąb statku na tej morza spokojnej przestrzeni
Przez dziewięć stał tygodni na miejscu bez cieni,
Gdzie słońca żar uśmierca, gdzie światłość miesiąca
Wydaje się jakgdyby płomiennogorąca.
A wtem się mgła podniosła o barwie ołowiu,
Zarazą oddychając; i na tem pustkowiu,
Do statku, stojącego z załogą wśród morza
Sen zimny się przyczolgał, jak śnieć na łąn zboża.
Zaś rano i wieczorem chowają żeglarze
Kamratów swoich trupy w hamaki i w darze
Rekinom je rzucają, a te, trumny lniane

Na strzępy rozerwawszy, chłoną je, jak mannę
Chłonęli ongi żydzi, którą Bóg im z nieba
Zesłał na pustyni. Widzieć było trzeba,
Jak jeden marł po drugim. Wieczornej godziny
Gdy burza się ściągnęła w jeden obłok siny,
Zostało tylko siedmiu. Potem sześciu gromy
Zabiły i tak leżą, jak mumje: widomy
Znak Czas na nich zostawił, balsamiarz zażarty.
A zasię jakiś odłam siódmemu z tej warty
Przez pierś przeszedł i plecy, że, ofiara burzy,
Rozbitek rozbitekowi jako przykład służy.

Nic więcej? Nie! Piękniejsza, niżeli niebiosy,
Gdy te swoje gwiazdziste rozwiewają włosy,
By niemi pokryć słońce i ziemię i morze,
Niewiasta jakaś siedzi przy sterze i hoże
Dzieciatko na skulonych swych kolanach trzyma,
A to uśmiechniętymi spogląda oczyma.
Nie troszcząc się o gromy ni o błyskawice,
Huk morza i powietrza, zwraca jasne lice
Ku owym dwom tygrysom, pragnąc, aby one
Zbliżyły się ku niemu. W ich ślepią wpatrzone,
Gdzie przeblysł strasznej trwogi gasi meteory,
Chce z niemi się pobawić; serce mu tej pory
Radością wielką bije, a ta mu roznieca
Żrenice, zasię matka przygasła, jak świeca.
O nie śmiej się, me dzieci! Niech twoja powieka
Do snu na ból się zamknie, który ciebie czeka,
Strasliwy, bo go dzielić musimy oboje!
Śpij, śpij, ty ma dziecino! Czyż cię łono moje,
Kolebka twa i łóżce, w sen nie ukolebie?
Okrutnie ono bije, gdy patrzę na ciebie!
Ach! czem jest śmierć, czem życie, czem człowiek jest ninie,

Gdy ginąć musim z chwilą, kiedy okręt ginie?
Nie widzieć cię już więcej i nie czuć? O Boże!
Być tem po naszym życiu, czem byliśmy w porze
Przed życiem? Nie dotykać się twych rąk, w twe oczy
Nie patrzeć, na te wargi, włosy, strój uroczy,
Kryjący cię, mój duchu, którego dni tyle
Mem dzieckiem nazywałam, a które w tę chwilę
Jak jasna gaśnie tęcza, gdy ja, by deszcz jaki
Opadam?!

Patrz! Snać okręt zatacza zygzaki,
Snać chwieje się, przez boków szczeliny i rysy
Wciskają się strumienie; skoczyły tygrysy,
Ujrawszy, jak się ku nim cal po calu wciska
Słona woda, ich cielskom coraz bardziej bliska.
Włosy im stają dębem, członki, oczy, uszy,
Martwieją z przerażenia; wtem, widać, przygluszy
Huki gromów ryk głośny, przeciągły, chrapliwy,
Rwący się z ich wnętrzości, rzuca się na niwy
Fal morskich, na ich wierchy i żleby i grotty
I echa swe rozlewa, huczące, jak grzmoty,
I w deszczu sieczącego strumieniach je nurza,
Gdy ku nim je zapędza rozszałala burza.
Przedarł się ten huragan od zachodu końca
I przekroczywszy bramy wschodzącego słońca,
Rozdziela dzikich prądów ponure potęgi:
Tak waż, goniący słońca, swojemi się kręgi
Przeciska poprzez gaszcze. Jak ocean wrzący,
Przewala się ten orkan, okrutnie warczący,
Między niebem a ziemią i tak się wciąż toczy,
Aż dotrze do obłoków gdzieś na świata zboczy
Co, wsparty, jak na słupach, na morzu i niebie,
Podpiera kościół burzy. Lecz orkan w potrzebie

Szaleństwa je rozstrzaskał, tak, jak groźna fala
Zapory ścian górzystych roztrąca, rozpala.
Obłoki się podarły w strzępy i lachmany,
Rozpadły się, jak głazy świątynne i ściany,
Walące się, gdy ziemi przechodzą trzęsienia,
A szczęty ich kamienne wichry w kurz zamienia,
Rozwiały się jak piana potoków. A tędy,
Gdzie przez rozdarte strzępy przedarły się pędy
Wichury, blask się wcisnął od płomiennej strony
Powstającego słońca, jasny, wyłożony.
I rychło cała armja, blaski i powietrze,
W obłoków wtargnie wnętrze i ciemność ich przetrze.
U jednej zgromadziwszy się bramy, do środka
Dostaje się już razem blasków armja wiotka.
Co raz to obszerniejsze ma orkan wyłomy,
Co raz to bardziej chmury rozpędza widomy
Poranek, wichry skrzydła opuszczają swoje,
Tak poszum fal je w senne kołysze ukoje.
A wielkie, szklane morskich bałwanów wzdęcie
I góry te wspaniałe, lecz straszne zawzięcie
Pozostałości burzy, jak złota wyziewy
Pochłania wciąż wschód słońca. Morskich fal rozlewy
Dziwią się ciszy niebios, rozpiętych nad niemi;
I, jak się uspokaja namiętność, przed swemi
Oczami widząc miłość, tak one ich lice
Odzwierciedlają z drzeniem. Od And po granice
Atlasu rozlewa się, śmiejąc się lazurem
Niebiosów świat fal morskich, ogarnia swym murem
Swe mewy i rozbite okręty.

Gdzie statek?

Na fali tej krawędzi, gdzie stał jego statek
Ostatni raz, w tej chwili tygrys zadyszany

Bój toczy z wężem morskim. Przez dymy i piany
Groźnego boju słońce przeciska swe strzały.
I kości zachrzęściły, strasznie zatrzeszczały
W uściskach stwardniałego, jak djament, węża.
Krew szumi, chlustająca, jak rozlewne deszcze,
Z żył, walką i wściekłością nabrzmiąłych, złowieszcze
Pazury gdy w nie tygrys zaryje. I wszczyna
Chrzęst straszny się i łomot, jak gdyby maszyna
Okrutnie żelaznemi jęła szarpać zęby
Łagodny wicher i fali spokojne już kłęby
I zmieniać je na grzmoty! I syki i świsty
I charki rozpełzły się na ocean lśnisty,
Jak gdyby roje stonóg. A gdzie bój się zdwaja,
Na morzu się błękitnem ukazała traja
Błękitna, dla zwycięzcy mogiła. Chcąc brata
Ujść losu, tygrys drugi — rozpacz nim pomiata —
Pospiesza naprzeciwko swemu. Co się darzy:
Łódź zbliża się! Dwunastu pędzi ją wioślarzy
Z szybkością lotnych myśli po słonej topieli.

Na przedzie trzej myśliwi miejsca swe zajęli:
W tygrysa piersi utkną trzy ogniste kule,
Ratunku każąc szukać i śmierci... w kopule
Powietrznej sterczą jeszcze ostatki okrętu,
Kołyszą się, drżą, giną w głębinach odmetu...
A ona lewą ręką czepia się ich ściany,
Zaś prawą trzyma dziecko, płód swój ukochany.
Śmierć, Trwoga, Miłość, Piękność są w tej atmosferze,
Pochłania ją ich ogień, za rękę ją bierze,
Ogarnia głowę, oczy, jak meteor skrawy,
Świecący nad wodami. A pełne zabawy
Jej dziecko uśmiecha się rozkosznie i głuży.

Tak głębia się uśmiecha przed nadejściem burzy.
I dziecko i ocean śmieją się tej chwili,
Jak brat się razem z siostrą swą rodzoną mili,
Tymczasem — — —

J O H N K E A T S

LA BELLE DAME SANS MERCY.

„Coś tak strapiony, biedny chłystku?
Czemu twarz twoja tak pomięta?
Nad brzegiem rzeki zwiędły trzciny,
Nie nuca już ptaszęta.

Coś tak strapiony, biedny chłystku?
Czemu tak patrzysz nieszczęśliwie?
Pełny już spichlerz ma wiewiórka,
Już dawno jest po żniwie.

Lilię widzę na twojej skroni,
Chorobliwego pełną potu,
A na policzkach twoich róża
Snać wędnie bez powrotu.“

„Spotkałem damę na murawie,
Obraz przepiękny, przeuroczy,
Włos miała długi, lekkie stopy
I wielce dzikie oczy.

Na konia-m swego ją posadził,
Nic nie widziałem przez dzień cały
Ona przytuli się i śpiewa
Rusalcze mi hejnały.

Kwiatami głowę-m jej owinął,
Na ręce dałem branzolety,
Spojrzała na mnie śnać z miłości,
Wzdychając ach! niestety!

Zbierała dla mnie słodkie miody,
Była korzeni moc i manna,
I dziwnie brzmiało, gdy mówiła:
„Miłość ma nieustanna“.

Do swej mnie groty rusalczanej
Przywiózłszy, westchnie przeboleśnie,
Tu-m jej całował dzikie oczy,
Aż się pogrąży we śnie.

Tutaj spaliśmy na murawie
I tutaj miałem sen ponury,
Ostatni sen, jaki mnie spotkał
Na zimnych stokach góry.

Widziałem króle i książęta,
W śmiertelnie bladej krzyczą męce:
„La belle Dame sans mercy
Trzyma cię w swojej ręce“.

Widziałem usta jej rozwarłe,
A naokoło mrok przy mroku,
A gdym się zbudził, zobaczyłem,
Żem jest na góry stoku.

Dla tego jestem tak strapiony,
Dla tego twarz ma tak pomięta,

Cóż, że nad rzeką zwiędły trzciny
I zmiłkły już ptaszęta!

Z SONETÓW.

I.

KTO NAZBYT DŁUGO W MIEŚCIE BYŁ WIĘZIONY

Kto nazbyt długo w mieście był więziony,
Ten w lica niebios spogląda radośnie,
Z serca mu błoga modlitwa wyrośnie
By iść w nadziejskie, uśmiechnięte strony.

Któż może więcej być zadowolony,
Niż człek, co leży na trawie, miłośnię
Zaczytan w książce, mającej o wiosnie
I o miłości najtęskliwsze tony.

W wieczór, wracając, słucha Filomeli
Rozkosznej pieśni, patrzy, jak obłoki
Płyną promienne po niebios topieli.
Żałuje wówczas, że dzień jasnooki
Tak szybko gaśnie, jakby lży anielej
Kropla spłynęła w firmament głęboki.

II.

DO SAMOTNOŚCI

O samotności! Chcąc z tobą wieść życie,
Nie w miejskich gmachów pomieszane mury,
Jeno, by śledzić władanie Natury,
Szedłbym na górskim wypoczywać szczycie.

Tu stąd patrzyłbym na kwietne pokrycie
Dolin, na strumień, tryskający z góry

Falą kryształów, i jak jeleń bury
Wypęda pszczołę z naparstnic. W tym bycie

Choć rozmiłowan, radbym przecież w twojem
Iść towarzystwie między wielkie duchy,
By na mądrości ich słowa nie głuchy,
Odczuć, że oni są rozkoszy źródłem:
Szczęście, gdy k'tobie przepelne otuchy,
Dwa bratnie serca spieszą ze swym znojem.

III.

DO KOŚCIUSZKI

Dobry Kościuszo! Wielkie twe nazwisko
Jest jak dojrzałe górnych uczuć żniwa;
Przychodzi na nas, jak nadziejskie dziwa,
Tonów sferycznych wieczyste ogniska.

Dzisiaj mi ono mówi, że siedlisko
W nieznanym świetle mając, k'nam się zrywa
Imię herosów i, harmonja żywa,
Dźwięczy w obłokach, srebrnych tronów blisko.

Mówi mi nadto, że szczęsnej godziny,
Gdy jakiś dobry duch na ziemię spadnie,
Imię twe razem z imieniem Alfreda
I innych wojów, stworzy narodziny
Głośnego hymnu, co się stłumić nie da,
Brzmiąc, gdzie wszechmocny Bóg, na wieki władnie.

ODA DO URNY GRECKIEJ.

Niepokalana wybranko milczenia,
Leniwej ciszy wychowanko zbożna!
O życiu lasu mówią twoje pienia

Lepiej, niż w rymach wyrazić to można:
Co za legendy, liściem oplecione,
Głosisz o bóstwach i o ludziach w chłodzie
Drzew arkadyjskich lub w Tempy dolinie!
W jakimż to dziewczki szalonym zawodzie
Pędzą! A owe pościgi w ich stronę,
A te piszczałki! Bębny! Szał przy winie!

Miły słyszany hymn, a nie słyszany
Jeszcze jest milszy, więc na swojej fletni
Dla dusz, nie uszu cielesnych peany
Głuche wygrywaj, takie brzmia najświetniej!
Piękny młodzieńcze! Nie będzie skończona
Pieśń, którą milczkiem pod tem drzewem snujesz
Nigdy nie zbliżysz się do warg, choć, zda się,
Tak ci są blisko; lecz się nie martw: Ona
Luboś zdaleka, nie zwiędnie w swej krasie,
Jest bowiem piękna, a ty ją miłujesz.

Szczęśne gałęzie! Liści nie straciecie,
Nigdy się bowiem nie żegnacie z wiosną!
Szczęśny śpiewaku, bez smutku twe życie,
Bo z fletni-ć pieśni wiecznie świeże rosną!
Szczęśna miłości, najszcześniejsza w świecie,
Zawsze płomienna, zawsze pożądana,
Wieczyście młoda, wieczyście tęskniąca!
Naszą namiętność ludzką życie zgniecie,
I w sercu krwawa pozostaje rana
Język spalony i skroń przegorąca.

Któż to się zbliża, by złożyć ofiary?
Dokąd, kapłanie, prowadzą twe kroki

Tą jałowicę, ryczącą bez miary,
Te uwieńczone, jedwabne jej boki?
Gdzie leżysz, grodzie, opuszczon w to rano
Przez swych mieszkańców? U morza czy rzeki,
Czy na gór stokach pod twierdzy ochroną?
Przez twym ulicom opustoszyć dano,
Ażeby odtąd umilkły na wieki?
Lud twój nie powie, czemu cię rzucono!

O piękny kształcie! O attycki tworze!
Urno, kamiennym liściem owinięta!
Patrz, ci młodzieńcy! Te dziewczyny hoże,
Ryte w marmurze! W tobie jest zakłęta
Myśl o wieczności!... O kapłanko chłodna!
Jeśli wiek stary plemię swe zniweczy,
Ty pozostaniesz w wiekuiestej krasie,
Ucząc nas jednej li prawdziwej rzeczy:
„Piękno jest prawdą, prawda pięknem“! Godna
Wiedza, by w każdym pamiętać ją czasie.

HYMN DO PANA.

(Z poematu „Endymion“)

O ty, którego pałac dach pokrywa
Z pniów pokręconych, gdzie wieczyste szumy
Słychać, gdzie kwiecie niewidne w zadumy
Posępnych mrokach żyje i opada;
Ty, co spoglądasz na to, jak dryada
Czesze swe włosy, leszczynami strojne;
Ty, co godziny przepędzasz spokojne,
Zasłuchan w smętny szelest łożów, w pustoszy,
Gdzie się cykuta w mokrażniach panoszy:
O pomyśl sobie, jaka przyszła na cię

Żalność po pięknej twej syryngi stracie:
Na twojej lubej skrocie mlecznobiała,
Na te jej żalu nawałę,
Na szal, gdy tve ją opuściło granie —
Racz nas wysłuchać, Panie!

O ty, w którego błogiej ciszy ducha
Grono turkawek pośród mirtów grucha,
Gdy w wieczór krocysz po słonecznej łące
W granice władztwa twego gorejące;
Ty, dla którego figi owoc młody
Już przeznaczyły, nim dojrzał, a miody
Zbierają pszczoły, łąnów naszych szlaki
Bób najpiękniejszy rodzą, sypkie maki,
Zaś makolągwa, grzeje swe potomki
Z myślą, by tobie śpiewały, poziomki
Chłodną jagodą raczą, a motyle
Swe rozwijają skrzydła w barwnym pyłe;
Ty, co cię wszystkim darzy lato świeże,
O, jak najprędzej rzuciwszy swe leże,
Z wiatrem, co w górach z świerkami jest w sporze,
Przyjdź, leśny boże!

O ty, któremu faun i satyr służą
Chętnie, czy idzie o to, by o dużą
Przyprawić trwogę śpiącego zająca,
Czy mknąć, gdzie turnia groźne głazy strąca,
I ze szpon orlich ratować jagnięta,
Albo, jak jakaś tajemna przynęta,
Z obłądnych ścieżek sprowadzać pasterzy,
Czy z tchem zapartym łowić u wybrzeży
Najdziwniejsze muszle, aby niemi

Rzucać do najad, wargi wesołemi
Śmiać się w ukryciu, gdy one, zgryzoty
Pełne, szukają, kto im robi psoty, —
O ty, którego te śmieszne opryszki
Bawią, rzucając żołędzie i szyszki:
Przyjdź, na te echa, i oszczędź nam bólu,
O ty satyrów królu!

Ty, co się gubisz w nożyc głośnym szczęku,
Gdy do strzyżonych owiec przy tym dźwięku
Pchają się kozły; ty, co grasz na rogu
W czasie, gdy dziki ryją po rozłogu,
Niweczęć plony łowcom na przekorę;
Ty, co z rdzy leczysz nasze kłosy chore
I od szarugi je bronisz; co tony
Niewymownemi napełniasz zagony
I trzęsawiska; co otwierasz bramy
Tajnych przybytków, skąd my posiadamy
Zasoby wiedzy, przez ciebie wiedzeni,
Ażeby, z naszych dobywszy się cieni,
Przed się podążać za twojemi stopy —
O wielki synu Dryopy,
Ilu z nas ludzi twoim śladem goni
Z wieńcem na skroni!

Zechciej być zawsze niezgłębionym źródłem
Dla samotników; wiedz ich ze spokojem,
Niech w źródle niebios kąpią się jedynem,
Potem ich zostaw bezradnych; rozczyne
Bądź dla tej twardej i nieczulej ziemi,
Odrodź ją swemi tchy eterycznemi;
Symbol ogromów, bądź tym firmamentem,

Co się odbija w morzu nieobjętem;
 Żywiołem, który otacza nas w koło,
 Czemś nieznajomem, niczem więcej! Czoło
 Swe zasłaniamy, kiedy w twoją stronę
 Nasze się ręce podnoszą spragnione,
 Kiedy na nasze te pokorne głowy
 Odpowiadają echemi niebiosy:
 Przeto błagamy: z swej licejskiej góry
 Przyjmij te skromne wtóry!...

HYPERION.

Księga II.

W głębokich mrokach pośpnej doliny,
 Zdala od świeżych oddechów poranka,
 Żarów południa i gwiazdy wieczornej,
 Usiadł Saturnus, jako głaz, spokojny
 I tak milczący, jak ono milczenie,
 Co go otacza wokoło; nad głową
 Las mu się zwieszał na lesie, jak ciemna
 Chmura na chmurze. Ani jeden tutaj
 Nie wkraść się powiew, tyle sił mający,
 Ile ma cichy dnia letniego podmuch,
 W dal unoszący żdźbła pierzastej trawy.
 Liść tu umarły zostawał, gdzie upadł,
 Samotny potok włókł się oniemiały
 I coraz bardziej malał i pochmurniał
 Z żalu nad bóstwa swojego upadkiem:
 W trzcinach i łożach wylękała Najada
 Do ust swych zimny przytknęła palec.

W piasku nadbrzeżnym ślady stóp szerokich,
 Lecz prowadzące do tego li kresu,

Dokąd on dotarł, by spocząć i zasnąć.
 Dłoń jego stara, zgrzybiała, olbrzymia
 Legła na ziemi wilgotnej, bezwładna,
 Martwa, bez berła, oczy bezkrólewskie
 Ciężko się zwarły, a głowę obwisła
 Tulił do ziemi, jakby nadśluchiwał,
 Czy przyjdzie pomoc od starej Macierzy.
 Zdawałoby się, iż żadna go siła

.....

BARRY CORNWALL

(Bryan Walter Prokter)

LOS DĘBU.

Puhacz swą wzywa kochaną,
Gdzieś rzekę słyhać ponurą;
Dąb tutaj na ściecie skazano,
Za sobą sto wiosen ma z górą.
Cios jeden — jęk wydał ze siebie,
Cios drugi — schyliła się głowa,
Cios trzeci — na króla pogrzebie
Posepnie zaszumi dąbrowa.

Od pnia mu ramiona odciepli
I ociosali mu boki,
Potem w łańcuchy go wzięli,
Jak zbira powiedli go w doki.
Tu go przez środek wzdłuż przetną
Na żebra dla statków ściany,
Smołą obleją go świetną,
Że morskie już zniesie bałwany.

Tu się mu skrzydła rozwarły:
Jak duch (jeśli duchy być mogą),
Będzie się puszył, choć zmarły,
I groźbą przerażał srogą.
Ogień błyskawic widomy
Z dział jego posypią się gromy,
Skoro się walka rozpali.

A gdy zwycięzca, zasłynie
Z wybrzeży hen! do wybrzeży,
Gdy żywot swój zamknie w swym czynie,
Cóż mu się więcej należy?
Ni króle, rycerze ni wieszczce
Praw innych nie roszczą sobie,
W pieśni chcą tylko żyć jeszcze,
Gdy z gliną mieszają się w grobie.

MORZE.

Morze, o morze, pełne morze!
O, nie wie ono, co obroże;
Jego błękitna, świeża fala
Swobodnie ziemski ład okala,
Igra z chmurami, z niebem szepce,
Lub śpi, jak dziecko to w kolebce.

Jestem na morzu, na głębinie!
Gdzie tak pragnąłem, jestem ninie;
Błękit nademną, blask podemną,
Ciszę naokół mam wzajemną:
Nic, że zakłóca mi ją burze,
W sny, płynąc dalej, się zanurzę.

Lubię ja pędzić, o jak lubię!
Po wód spienionych wrzącym czubie,
Gdy księżyc chłonie fala wraza,
Lub z swym się wichrem przekomarza,
Gdy o zachodnich wiewach plecie
I co się dzieje gdzieś na świecie.

Nigdy nie byłem u wybrzeży,
A morze-m kochał coraz szczerzej;

Jak ptak ku gniazdu matki goni,
Tak ja do morskiej gnałem toni,
Matką mi była i jest ona,
Dla morza dusza ma stworzona!

Głęb była biała, krasne rano,
Gdy mi urodzić się kazano:
Wieloryb świszczę, wśród głębin
Złotemi grzbiety lśnią delfiny;
Gdzież mają dzieci byt tak miły,
Jak te, co k'morzu się zrodziły!

Pięćdziesiąt wiosen od tej pory
Przeżyłem, żeglarz, bez przekory,
W ciszy czy walce, nie stroskany
I nie pragnący żadnej zmiany.
Niechże i Śmierć mnie też pognębi
Na rozkielzanej morza głębi.

LONDYN.

Gdym jeszcze małym chłopcem był,
Słyszałem o Londynie,
Że mury same srebrne ma
I złoty bruk jedynie,
Że cny i śmiały jego mąż,
Że z pięknych niewiast słynie,
Że kupisz tam, co stworzył świat,
I sprzedasz tego skrzynie.

I do Londynu-m przybył wnet —
Było to kiedyś w lecie;

Tom sobie jeździł, tom chodził znów
I świstał, ile chcecie.
I uderzyła na mnie krew,
Gdy furman rzekł: „Patrz, dziecię,
Oto jest Londyn, grodów król,
Najtęższy, najmilszy w świecie!”

Tom się rozglądał, tom słuchał wciąż,
Co i jak bywa w Londynie:
I nie ze srebra był jego mur
I z złotych bruków nie słynie,
A co do niewiast — o, piękne są
Ale i śmiałe — jedynie.
I rzekł mi furman: „Kupisz tu
I sprzedasz wszystkiego skrzynie!”

Tak, tu sprzedają każdą rzecz:
Córkę sprzedaje matka,
Żeglarz się sprzedę, jeśli chce
Pruć fale do ostatka;
Kapitan urząd sprzedę swój,
Gdy mu się zdarzy gratka,
Braciszek-żłodzię gotów jest
Sprzedać złodzieja-bratka.

Krytyk sprzedaje sądy swe,
Wieszcz pieśni darmo nie da;
Swem „tak!” lub „nie!” wnet wielki człek
Małego czleka sprzeda.
Święcąc bogaczów, świętość słów
Sprzedaje książd-wereda;
Niewiasta miłość sprzedę swą,
Gdy jej dokuczy bieda.

I tak ze wszystkim. Sztandar sztuk
Rozwija się przy złocie;
Za złoto róża kielki swe
Gotowa zniszczyć w błocie.
Za złoto kłamca zwraca grot
Przeciw niewinnej cnocie;
Żołnierz na sławy niby głos
Spieszy mordować krocie.

Przeto, Londynie, żegnaj! Ty,
Gdzie wszystko kupczy sobie,
Gdzie można sprzedać to, co jest,
I kupić w każdej dobie,
Gdzie zbytek z nędzą gnieździ się,
Gdzie w końcu, po żalobie,
Czy po weselu, frant i król
Zamkną swe księgi — w grobie!

T O M A S Z H O O D

PIEŚŃ O KOSZULI.*)

Z palcami, zdartymi przez trud,
Z żrenicą ciężką, czerwoną,
Nad igłą kobieta w łachmanach
Głowę schyliła zmęczoną.
Sztynch! Sztynch! Sztynch!
Od głodu i nędzy zmartwiała,
Bolesnym, znękanym głosem
„Pieśń o koszuli“ śpiewała:

„Rób! rób! rób!
Ranne zapały już kuły!
Ty rób, rób, rób,
Aż gwiazdy przecisną się z góry!
O, lepiej być u Turczyna,
Nie myśleć o duszy zatracie,
Niżli tak strasznie mozolić się tutaj,
W tym chrześcijańskim warsztacie.

Rób, rób, rób,
Aż mózg ci się w głowie zamroczy!
Rób, rób, rób,

*) Istnieje przekład Władysława Nawrockiego, któremu zawdzięczam dwa lub trzy drobne zwroty. Cfr. P. Chmielowski i E. F. Grabowski: „Obraz literatury powszechnej“ T. II.

Aż ciężar ci spadnie na oczy!
Kliniki, obszewki, wiązadła!
Tak mnie znużyły niewczesnie
Obszewki, kliniki, że zasnę
I dalej szyć będę we śnie.

„Mężczyźni, wy w gronie swych sióstr,
Co z żon się i matek cieszyacie,
Nie płótno wy macie na grzbiecie,
A jeno człowiecze życie!
Sztynch! Sztynch! Sztynch!
W nędzy, o głodzie i w brudzie
Szyję podwójnie: koszulę
I całun mieć będą ludzie.

Lecz cóż mi na myśli jest śmierć?
Kościotrup ohydny ogromnie,
Nie lękam się tego widma,
Przecież podobne jest do mnie.
Podobne jest przecież do mnie,
Wszak poszczę codziennie!... O Panie!
Dlaczego ten chleb tak jest drogi,
A krew i ciało tak tanie?!

Rób, rób, rób!
Ustawać nigdy nie trzeba!
A jakaż zapłata? Ten łachman,
Garść słomy i kromka chleba!
Dach zdarty, dziurawa podłoga,
Ten stół i ten stółek złamany!
Szczęśliwy dzień, gdy choć mój cień
Na te mi padnie ściany.

Rób, rób, rób
Od wczesnej do późnej godziny;
Rób, rób, rób
Jak więzień za ciężkie przewiny;
Wiązadła, kliniki, obszewki,
Obszewki, kliniki, wiązadła,
Aż serce osłabnie i mózg ten omdleje,
Jak ręka z zmęczenia opadła.

Rób, rób, rób
W posępnej świetle grudnia!
I rób, rób, rób
W czas upalnego południa,
Kiedy jaskółki pod strzechą
Świegocą sobie radośnie,
Jak gdyby chciały bym z niemi
I ja śpiewała o wiosnie.

„O, módz doświadczyć choć raz,
Jak zapach pierwiosnków mam!
Nad głową zobaczyć niebiosą,
A trawy mieć pod stopami!
O, choćby na jedną godzinę
Odczuć, jak czułam przed laty,
Kiedym dla jednej przechadzki
Obiad oddała bogaty.

„Choć jedną chwilę odstępście mi,
Wytchnienia chwilę krótką,
Nie dla miłości i nie dla nadziei,
Lecz by się poddać smutkom.

Drobina płaczu ulży mej duszy —
Lecz łzy pozostaną w ukryciu,
Bo jedna łza, co upaść ma
Przeszkadzać będzie w mem szyciu.“

Z palcami, zdartymi przez trud,
Z żrenicą, ciężką, czerwoną,
Nad igłą kobieta w łachmanach
Głowę schyliła zmęczoną —
Sztých, sztých, sztých!
Od głodu i nędzy zmartwiała,
Głosem, co osłabł w tym trudzie —
Słuchajcie bogaci go ludzie —
„Pieśń o koszuli“ śpiewała.

R. B R O W N I N G

(Z poematu Pippa przechodzi)

Rok wita już wiosnę
Dzień wstaje z obłonek;
Na wzgórzach lśnią rosy
Blaskami złotemi!
Zanucił radosne
Piosenki skowronek;
Ślą łaskę niebiosy,
Jest dobrze na ziemi!...

Żył król za dawnych lat,
W czas ziemi porankowy,
Gdy bliższy niebiosom był nasz świat;
Naokół jego głowy
Włos się rozwiany snuł;
A tak miał wielką, taką białą skroń,
Ni ten ofiarny wół.
Nie przyszła troska doń,
Starości nieznane mu trudy,
Żył ciszą błogiej uludy,
Zdala od wszelkich burz.
Sny słodkie mu nieba dawały,
Lud mniemał, że król ten wspaniały
Nie umrze nigdy już.

Śród skał królewski strzelał gród;
On przed pałacem w słońcu siadał,

Na przechodzący patrzył lud,
I każdą sprawę pilnie badał,
Sędziowskie wyroki układał.
Przyprowadzali mu złodziei,
Schwyconych w strągach, zbójców z kniei
O ogorzalej, czelnej twarzy,
Chytrych żebraków i korsarzy,
Trapiących morski brzeg.
Czasem do jego stóp przypada
Jakaś kobieta nędzna, blada,
I o swej krzywdzie opowiada,
Którą jej straszny zrządził człek.

Czasem do tej przystani
Złoczyńcę powiodą kapłani,
Który, skurczony, skulony,
Ze ściśniętymi ramiony,
Jak w kłębek zwinięty gad,
Cicho się chyłkiem wkradł
Poza świątynny próg:
Sam go podchwycił bóg,
Strzegący w ten nocy mroczny czas
Swoich miedzianych, świętych waz —
Król przed pałacem w słońcu siadał,
Sędziowskie wyroki układał.

Kochasz mnie jeszcze? Czekać będę,
Aż twoja miłość wyrośnie;
Latem okwieci kwiat twą grzędę,
Posiany w pierwszej wiosnie.

Smutny był posiew mój, być może
Wystrzeli z niego kwiecie;

Choć nie pokochasz go — hej, Boże!...
Będzie ci drogi przecie.

Na mej miłości ujrzysz grobie
Ten fioleczek mały!
Nic sobie z śmierci już nie robię:
Twe oczy mnie kochały!

Drzew gałęzie wspólnie rosną,
Kwiat się z trawą łączy wiosną,
Ja ni siostry, ani brata
Sama jestem pośród świata
Wiem od dawna: głos ptaszęcy —
A i zwierząt — to nic więcej,
Tylko niby ludzka mowa —
Choć w nim większy czar się chowa!
O, jak bliskie jest mi słońce!
Gwiazdy znam ni palców końce,
Wiem, ku jakiej się potrzebie
Zmienia księżyc ten na niebie;
A gdy żadna jego zmiana
Już nie będzie mi nieznana,
Bóg mnie wziął do siebie!

Bóg wszystkim rządzi; od tej chwili,
Gdyśmy się na świat narodzili,
On naszym Panem zawsze, wszędzie!
Wszyscyśmy Boga rąk narzędzie,
I zły i dobry w Jego matni,
I nikt tu pierwszy, nikt ostatni.

Nie mów i rzecz mała! Większe rzeczy
Czyż ci trud większy zabezpieczy?

Od spraw ogromu z których czleka
Sklada się żywot, niech ucieka
Duch mój! Rzecz dobrą spełnię jedną,
A potem złożę głowę biedną.

I innych jeszcze prawd tu znajdziesz wiele,
Tak! pójdę ku nim, ujrzę ich wesele,
Ale zazdrości nic we mnie nie zbudzi —
I jam też wielka, potrzebna dla ludzi
I miła Bogu! Tyle troski
Sprawia ten święty dzionek boski!
Nic to! niech słońce z nieba
Świeci a też nie potrzeba!...
Pójdziesz ty ze mną, dniu mój drogi,
Na śmione rosą traw rozłogi,
Pójdiesz w gałęzi mrok ten wraży,
W ten piniowy las ponury,
Tam, gdzie nie wzbiła się do góry
Żadna jaskółka, gdzie nie waży
Świerszcz się odezwać — ej! nie waży!

ALFRED TENNYSON

PYTA KOCHANEK, GDZIE JEST MIŁA.

(Z cyklu „In memoriam“)

Pyta kochanek, gdzie jest miła,
Chce ją zobaczyć rozręsknioną,
A tutaj świece ma i dzwony —
Dom swój na wieki już rzuciła.

I zdjął go smutek. Blask się płoszy
W halach, dziedzińcach, kona gaśnie;
Mrok dziś, gdzie wczoraj były jasnie,
W świetlicach zbrakło już rozkoszy.

Tak też szukają nadaremnie
Miejsc naszych wspólnych me żrenice:
Pola, pokoje i ulice —
Wszędzie bez ciebie tylko ciemnie!

Ale jak ktoś na pustej niwie
Spotka zniszczone przez zamiecie,
Przez deszcz i wichry, piękne kwiecie,
Które hodował tak troskliwie:

Tak i ja widzę, że na wieki,
O biedne serce, już mi zwiędnie
I kwiat mej pieśni, gdyż niezbędnie
Było mu trzeba twej opieki.

A jednak oczom twym był miły,
Pójdę go sadzić na twym grobie;
Może zakwitnie znów przy tobie,
A umrze, to u twojej mogiły.

PIEŚŃ POGRZEBOWA.

Skończyły się już twe dzieje;
Złóż na piersi ręce swoje;
Trzeba raz uciszyć znoje!...
Niech się pienia!
Srebrna brzoza cień swój sieje
Nad mogiły twojej zielenią. —
Niech się pienia!

Czem ci troski i potwarze?
Tylko na twym zmarłym ciele
Zimny robak ma wesele.
Niech się pienia.
Cień się tłumi z blaskiem w parze
Nad mogiły twojej zielenią.
Niech się pienia!

Nie będziesz się wił dokoła;
Niż obelgi, pobrzęk pszczeli
Czy nie bardziej cię weseli?
Niech się pienia!
Nie podniesiesz ty już czoła
Nad mogiły twojej zielenią!
Niech się pienia!

Krokodylę łyż po tobie;
Za to roś raczą brzozy

Słodsza, niżli zdrajców ślozy.
Niech się pienia!
Deszczyk dźwięczy na twym grobie,
Nad mogiły twojej zielenią.
Niech się pienia.

Krzewy głógów, pełne woni,
Rozsypują blade kwiaty;
Gną się, wiją, róż szkarłaty —
Niech się pienia! —
Kiedy deszczyk z nieba rosi
Nad mogiły twojej zielenią.
Niech się pienia!

Złotooki jaskier świeży,
Śród koniczyn polne dzwonki
To mogiły twojej obłonki.
Niech się pienia!
Sam król nie ma takiej leży,
Jak ty dziś pod tą zielenią...
Niech się pienia!

Tylko słowa, ten dar boży,
Które tu i tam się roją,
Zaciemniają pamięć twoją...
Ale niech się pienia!
Świerszcz swe ciche pieśni tworzy
Nad mogiły twojej zielenią...
Niech się pienia!...

MARJANA.

Gdzie jeno spojrzeć, mech rosiadły
Grubą skorupą pokrył grzędy;
Zrdzewiałe gwoździe z ścian wypadły,

Podtrzymujących grusze; wszędy
Z zniszczonych murów pustka wieje,
Strasliwie smutna, bez pociechy;
Zielskiem zarosły stare strzechy,
Zaryglowane są wierzeje.

„Ciężko!“ to jedno ona rzecze;
„Nie wraca ach! mój miły!
„Męczy mnie“, rzecze, „życie człecze,
Czas zejść mi do mogiły!“

Placze, gdy w wieczór zaśnie rosy,
Placze, gdy za dnia wyschną one;
Nie może patrzeć już w niebiosy,
Ciemne czy rankiem rozjaśnione.
Gdy zaszeleszczą nietoperze,
Gdy mrok się ciężki zbliży do niej,
Wtedy-li okna swe odsłoni,
Topić się w ciemnościach chęć ją bierze.
„Ciężko!“ To jedno tylko rzecze;
„Nie wraca ach! mój miły!
Męczy mnie“, rzecze, „życie człecze,
Czas zejść mi do mogiły!“

A o północnej słyszy porze,
Skoło się zbudzi, pojęk sowy.
O świcie kogut gdzieś na dworze
Pieje, w wądocach ryczą krowy.
Niema nadziei żadnej zmiany;
Że jest stracona, czuje we śnie
I kiedy rano zacznie wcześniej
Zimny wiać powiew od polany.
„Ciężko!“ To jedno tylko rzecze;

„Nie wraca ach! mój miły!
Męczy mnie“, rzecze, „życie człecze,
Czas zejść mi do mogiły!“

Na rzut kamienia od zagrody
Spało stawisko; niewesoło
Jego szerniałe, grząskie wody
Pokryły zielska naokoło.
Tuż przy nim srebrną-ś miał topolę
O zgnilej korze; na pustynie
Jak okiem sięgniesz, to jedynie
Widziałeś drzewo w tym okole.
„Ciężko!“ To jedno ona rzecze;
Nie wraca ach! mój miły!
Męczy mnie“, rzecze, „życie człecze,
Czas zejść mi do mogiły!“

Tylko gdy księżyc zejdzie nisko
I ostry podmuch gdy zawionie,
Zobaczy cieni widowisko
Na białej okien swych przesłonie;
Tylko gdy zadmie wiatr w komorze
I księżyc jeszcze niżej spada,
Cień swój topola rzuca blada
Na jej oblicze i na łóżce.
„Ciężko!“ To jedno ona rzecze;
„Nie wraca ach! mój miły!
„Męczy mnie“, rzecze, „życie człecze!
Czas zejść mi do mogiły!“

W domu gdy pustka władnie głucha,
Drzwi na zawiasach skrzyp się słyszy;
Na szybie lśnista brzęczy mucha,

Za zgniłą ścianą piszcza myszy
Lub wyglądają poprzez szpary,
Widzi postaci dawnych rzędy,
Słysz ich kroki tam i wtedy
I jak ją dawne wabia maryl.
„Ciężko!“ to jedno tylko rzecze;
„Nie wraca ach! mój miły!
„Męczy mnie“, rzecze, „życie człecze!
Czas zejść mi do mogiły!“

Zegar, co tyka tak powoli,
Rozświegotana wróbbi rzesza
I szeleszczący liść topoli —
To wszystko razem zmysły miesza.
Ale najprzykrzej patrzyć dla niej
Na ten zgrubiały odbłask słońca
W izbie, gdy dzień się snąc bez końca
Do swej zachodniej włóki przystani.
„Ciężko!“ to jedno ona rzecze;
„Nie wraca ach! mój miły!“
I płacze. „Męczy życie człecze!
Boże! Czas do mogiły!“

KRÓLOWA MAJA.

Zbudź mnie wcześniej, matko droga, zbudź mnie wcześniej,
[bardzo wcześniej.
Rok szczęśliwy nie ma czasu szczęśliwszego, niżli w wieśnię;
Jakiż miłszy bywa dźwięk, niżli porą tą majową?
Więc chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Są tu czarne, czarne oczy, lecz jaśniejsze, czyjeż czyje?
Są tu Kasie, Małgorzatki, Karolinki i Maryje,

Lecz że Baśka najpiękniejsza, każdy swą poręczy głową,
Więc chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Tak głęboko spałam w nocy, tak-ci spałam bez ustanku,
Gdyby nie twój głos, o matko, nie zbudził mnie o poranku,
Muszę zebrać kwiatów pęki i girlandę mieć gotową,
Bo chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Chodząc sobie po dolinie, kogom też spotkała w drodze?
Jaś na moście pod laskowym stał orzechem, smętny srodze.
Pewnie myślał, żem go wczoraj odpaliła ostrą mową.
Lecz chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Mniemał pewnie, żem jest duchem, byłam przecież cała w bieli,
Migiem przeszłam obok niego, że i piorun tak nie strzeli;
Mówią, że mam serce twarde, cóż mi znaczy takie słowo?
Ja chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Że z miłości, mówią, kona, lecz to nigdy być nie może!
Mówią, że mu pęknie serce, cóż mi z tego, mocny Boże!
W pierwszy letni przecież dzionek znajdę sobie miłość nową,
Dziś chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Mała Zośka będzie ze mną jutro rano na zabawie,
I ty, matko, też zobaczysz, jak ja pięknie się przedstawię;
Zlecają zewsząd juhasowie; słonko zaśni nad dąbrową,
Więc chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Wokół prętów wonny powój wije sobie wian bogaty,
Na krawędziach łąk po rowach błyszczą mleczów dzikie
[kwiaty;

Niby ogniem, tak kaczęce złocą łąkę wędolcową,
Więc chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Nocny, matko, wiatr przychodzi i przechodzi nad murawą;
W takim czasie każda gwiazda jeszcze bardziej jest jaskrawą;
Przez dzień cały kropli deszczu, będziem mieć pogodę zdrową,
Więc chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Cała hala, matko, świeża i zielona, wabi oczy;
Pełno jaskrów i kaczeńców, złocą się na każdej zboczy;
Ruczaj szemrze pośród kwiatów swoją falą kryształową,
Więc chcę maja być królową, chcę majową być królową.

Przeto zbudź mnie wcześniej, matko, zbudź mnie wcześniej,
[bardzo wcześniej,
Rok szczęśliwy nie ma czasu szczęśliwszego, niżli w wieśnie;
Kiedyż miłszy bywa dzionek, niżli porą tą majową?
Więc chcę maja być królową, chcę majową być królową.

PANI KLARA WERE DE WERE.

Mościa Klaro Were de Were,
Nic tu nie wskórasz, pani, ze mną,
Chciałabyś proste złamać serce
I krotochwilę mieć przyjemną.
Śmiejesz się do mnie, lecz, przytomnie
Z twoim podstępem ja w niegodzie,
Idę swą drogą: czem mi dama,
Która stu hrabiów ma w swym rodzie?!

Mościa Klaro Were de Were,
Nazwiskiem swem się chępsiz srodze;
Znam twoją pychę, lecz zbyt dumny-m,
Bym miał się pytać, skąd pochodzę.
Któż swego serca moc uśmierca,
Godną szerszego tu gorąca?

Od setki hrabiów więcej warta
Zwykła dziewczyna tak kwitnąca.

Mościa Klaro Were de Were,
Potulniejszego dziś kamrata
Poszukaj sobie; bo co do mnie,
Nie ugnę się przed Panią świata;
Chcesz znaleźć drogę, jak ja mogę
Kochać? Odpowiedz ma — pogarda.
Odemnie postać lwa nad bramą
Twojego domu mniej jest twarda.

Mościa Klaro Were de Were,
Rzecz dziwna dziś mi idzie w głowę:
Odkąd zmarł tamten, raz li trzeci
Zakwitło drzewo to lipowe.
W twej odpowiedzi spokój siedzi —
O czarownica tyś niemała:
Ale ten znak na jego szyi,
Pewno go widzieć byś nie chciała.

Mościa Klaro Were de Were,
Gdy go ujrzała jego matka,
Pewną ci prawdę rzekła wówczas,
Przejęta gniewem do ostatka.
Słowa sierzyste o, zaiste!
Dla twoich uszu nazbyt szczerze,
W niej taki spokój nie istnieje
Jako w tych z rodu Were de Were.

Mościa Klaro Were de Were,
Upiór dziś straszy w twoim domu,
Krew na twych wrótniach; zółć do serca

Przelałaś snąć nie byle komu!
Gdzież twe wyrzuty? Niezepsuty,
Dał zapewnieniom twoim wiarę,
Ty go obrzucisz zimnym wzrokiem,
Zabiło go szlachectwo stare!

Mościa Klaro Were de Were,
Patrz! Z niebieskiego tam sklepienia
Stary ogrodnik razem z żoną
Z dawnego śmieje się imienia.
Co chce, niech będzie: zda się, wszędzie
Tego li panem nazwać z panów,
Kto bywa dobry; niczem herby,
Niczem jest dumna krew Normanów.

Mościa Klaro Were de Were,
Masz dość już wień swych i swej hali;
Twe dumne oko dziś znudzone,
Już dawnym żarem się nie pali.
Bogactwo, zdrowie — niech kto powie,
Że w tobie nudę tę zniweczy;
Co robić z czasem ty już nie wiesz,
Przeto się w puste bawisz rzeczy,

Klaro, Klaro Were de Were,
Gdy ciężar czasu tak cię gnecie,
Nie masz żebraków u swych wrótni,
Nie masz nędzarzy na tym świecie?
Chłopcy-sierotki ucz czytania,
Jak szyć należy, ucz dziewczęta;
Miej serce ludzkie, a o wiejskim
Niech już młodzieńcu nie pamięta.

S W I N E B U R N E

CHÓRY Z DRAMATU ATALANTA Z KALYDONU.

Gdy wiosna sforze swej osaczyć każe
Zimę, księżyców matka wnet poruszy
Deszcz i szum liści na wietrznym obszarze
Fal na murawach i w lesistej głuszy.
Kochania żądny słowik już się wtedy
Zbyt nie lituje Hyłowej biedy
Trackie okręty, cudzoziemskie twarze
Już nie sprawiają zbytnich nam katuszy.

O pani światła, zjaw się z swym kołczanem
I swoim łukiem w ogniach swej urody
Pojaw się z grzmotem wichrów, z rozpętanym
Fal wywierzyskiem, z głośnym rykiem wody.
O najlotniejsza, nałóż-że sandały
Na hyżość nóg swych, na ich blask wspaniały,
Gdyż wokół nocy stóp i dnia, nad łańcem,
Zachód przygasa, wschód się wznieca młody.

Gdzież nam ją znaleźć, jakie pieśni rzucić,
Jak jej kolana zamknąć w swe ramiona?
Oby się mogło serce ku niej rzucić,
Ni ogień skrawy, ni fala wzburzona!
Wichry i gwiazdy, posiane rozrzutnie,
To suknia dla niej, jej śpiewy i lutnie!

Nic hymnu wichrów nie zdoła zakłócić,
Nic zgasić gwiazd tych, których pania ona.

Zgasły już zimy niszczycielskie siły;
Śniegów i grzechów pora już nie włada —
Dni, co kochanka z kochanką dzieliły;
Noc już dnia kosztem nie wzmaga się rada;
Chwil tych wspomnienie — to ból zapomniany;
Mrozy pobite, wokół pachną łany,
Zieloność lasów, kwiatów orszak miły,
Że przyszła wiosna, głośno zapowiada.

Kwiatem rokitin karmią się moce;
Rzek hyży rozpęd powstrzymują trawy;
Z liści na kwiaty, z kwiatów na owoce
Nowego lata skacze żar złotawy —
I liść i owoc są, jak żar lub złoto;
Dźwięk owsów liry przytłumia; tam oto
Satyr orzechy kopytem druzgoce —
W gaj kasztanowy wyszedł na obławy.

A Pan w południe, Bachus w nocnej porze
Tańcem i śmiechem napelniają drogi —
Gonią Menady, Bassarydy hoże,
Od szybkich kózłat szybsze mając nogi;
Wokrag rozbrzmiewa ich zabawa pusta;
Liście się śmieją, jak rozśmiane usta,
A przez ich gęstwę oko widzieć może,
Ucieczkę dziewcząt, ścigające bogi.

Bachantkom, z włosów, rozwianych rzęsienie,
Bluszcz się ku oczom zesuwa i skroniom;
Opadające winogrodu liście

Promienną białość ich piersi odsłonia:
Winograd ciężki na ziemię się stoczy,
Lecz bluszcz owija członków kształt uroczy
Naokół nóg się lepią jego kiście —
Nóg, co przed łanią i wilkiem się bronią.

* * *

Nim płynąć poczęły dni fale,
Czas przyszedł, by stworzyć człowieka,
W podarku łzy przyniósł i żale;
Z przybyciem i troska nie zwleka
I rozkosz, co boleść przyniosła,
I lato z kwiatami, co wędna,
I pamięć, w niebiesiech wyrosła,
Szał z piekieł z tą twarzą obłądną;
I siła bez rąk przyszła w gości
I miłość, co żyje li tchnieniem,
I noc, co jest cieniem światłości,
I życie, co śmierci jest cieniem.

I wzięli bogowie do ręki
I ogień i lżę tę ciekącą,
Z pod stopy tak wzięli ten miękki,
Ten lotny piasek i drżącą
Pianę wód morskich, proch ziemi,
Spowitej w katusze i znoje,
Byt ciał, nim się stały żywymi
Gdzie śmierci i życia podwoje.
Tak z płaczu gorzkiego i śmiechu,
Z miłości i wstrętu, z potęgi
Życia niezmiennej, z oddechu
Śmierci, dzierżącej okręgi,
Na noc, na dzień, na poranek

Bogowie człowieka zlepili,
By cierpiał ten troski kochanek,
By moc jego zgąsta tej chwili.

I wichrów walczących zatargi
Zgarnawszy z południa, z północy,
Powiewy ich tchnęli mu w wargi,
W żywota skapali go mocy.
Żrenicę mu dali i mowę,
By duszy tworzyły zasłonę,
I chwili dla grzechu gotowe,
Dla pracy i myśli gotowe,
I miłość i rozkosz mu dali
I światłość rzucili na drogi,
Dni długość, co słońcem się pali,
I noc, a w tej nocy sen błogi.
Wargami gdy człowiek poruszy,
Ognistym przemawia potokiem;
Ośleplą ma żądzę w swej duszy
I śmierć przewiduje swem okiem.
Tka, a ma z szydu okrycie
Nie zbiera, acz chodzi za pługiem
Czuwaniem li jest jego życie
Między snem jednym a drugim.

* * *

O miłości, jak kształt twój uroczy i jaki pełen dobroci!
Twoje skrzydło w powietrznej roztoczy skrzydłem gołębia
[się złoci;
Stopa twoja tak szybka i żywa, jak wicher, co kraje morze;
Ziemi-ć płaszczem i suknią, co skrywa te twoje członki boże.
Zwinna jesteś i ślepa: pożogi sięją płomienne twe miecze;
Rozśmiej żądzę wyprzedza twe drogi za tobą łą się jej wlecze.

Dwie postaci przy swoim masz boku, mężczyznę i oblubienicę;
Snać ją rozkosz przeraża: w jej oku ognie się trwogi świecą.
Jak woń, która rozsadza pękowie, oblubienicze jej tchnienie:
Skonem jej oblubieniec się zowie, jej imię Przeznaczenie.

Kwiat trujący narodził się z piany,
Z piany morza i krwi ten czerwony.
Kwiat się rodził i gorzkie dał plody;
Śmiech i śłozę to jego nasiona,
Liście jego to gniew jest wezbrany;
Gorycz jadu wśród jego korony;
Bez korzeni wstał z morskiej on wody,
Nie zaszczepion, z lat wystrzelił łona.

Nie zstrzepiła się tu przędza świata,
Którą przędzie dzień aż w pomrok siny;
Nie okryły się szronem godziny,
Ani czasu podarła się szata,
Gdy zabójczy cud powstał z głębin,
Kiedy Troska szła ujarzmić lata.
Morskie do niej tuliły się fale
Ucieszone, że oto z ich łoża
Kwiecie ciała wyrasta tej mocy,
Która zarem wypełni oddale
Która zimne rozgrzeje przestworza
Aż po śnieżne granice Północy.

Ptak w błękitach i człowiek na ziemi,
Który dźwięcznie dzielące się słowa
Pochwytuje uszami chciwemi —
Wszystko zwierzę, co pęłza i biega,
Co po stawach i rzekach się chowa,

Co po łąkach i łęgach się pleni,
Radość w sobie szaloną rozżega.

Rzekli bowiem w rozkoszy powodzi,
Że w gołębiej przybywa tu bieli,
Że byt świata w oddechu jej leży,
Że z nią razem byt świata się rodzi:
Żeś miłości jest matką, wiedzieli,
Nie wiedzieli zaś śmierci macierzy.



BARRY CORNWALL

Pseudonim, właściwie nazwisko Bryan Walter Procter. W epiljach (opowiadaniach epickich) naśladowca Byrona, autor dramatycznych utworów, jak „Sceny dramatyczne“ („Dramatic Scenes“), oraz głośniejszego onego czasu tragedji „Mirandola“ (treść: losy humanisty włoskiego Giovanni Francesco Pico della Mirandola), napisał, jeśli idzie o interesujące nas przedewszystkiem liryki, i wydał w r. 1831 tom „Pieśni angielskich i innych poematów drobniejszych“ („English Songs and other Small Poems“). Porównywano je niekiedy z lirykami Tomasza Moora.

Dają czytelnikowi — obok „Losu dębu“ — istotnie piękny wiersz o „Morzu“ i interesujące zwrotki o Londynie, który handlarstwem swem niemiłe na pocie wywarł wrażenie.

Urodzony w r. 1787, umarł r. 1874.

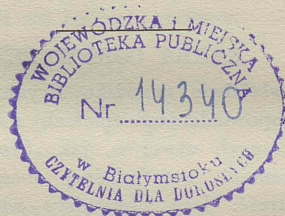
ALFRED TENNYSON

Urodzony 1809, najpoczytniejszy z poetów angielskich w czasach po-byronowskich, zjednał sobie sławę europejską i tytuł „poety-laureata“ takimi utworami, jak „Locksley Hall“, „Godiwa“, „Oenone“, „Lady Clara Vere de Vere“, „Mariana“, „In memoriam“ (cykl wierszy lirycznych, poświęconych zmarłemu przyjacielowi), „Idylle królewskie“, „Enoch Arden“

itd. Z utworów epickich znany jest u nas przede wszystkim „Enoch Arden“ (w przekładzie Koźmiana).

Próbował się też w dramacie („Queen Mary“, „Becket“, „The Cup“, „The Promise of May“).

Umarł 1892. Pochowano go w oddziale poetów w katedrze Westminsterkiej w Londynie.



„OBRAZ POEZJI ANGIELSKIEJ“ jest wierną kopją rękopisu Kasprowicza, nawet tam niepoprawioną, gdzieby należało ją poprawić. W jednym i tym samym utworze Kasprowicz rozmaicie dane słowo pisze: Hood i Hud, Ossjan i Ossian, Oitona i Ojtona itd. Słowa zupełnie nieczytelne są wykropkowane i ujęte w nawias graniasty, niepewnie odczytane są umieszczone w takim samym nawiasie. Kolejność autorów i utworów według rękopisu. Życiorysy poetów, poprzedzające w rękopisie tychże utwory, zostały umieszczone na końcu każdego tomiku, by nie psuć harmonji w układzie typograficznym całego wydania t.j. DZIEŁ i PRZEKŁADÓW. JWP. Kazimierzowi Giebułowskiemu za łaskawą pomoc w odczytywaniu rękopisu „Obrazu Poezji Angielskiej“ składam serdeczne dzięki.

Niechaj mi wolno będzie na tem miejscu podziękować za niezwykłą życzliwość i poparcie JWP. Annie z Kasprowiczów Jarockiej i Prof. Władysławowi Jarockiemu w ciągu dwuletniej pracy nad Wydaniem Zbiorem Dziel i Przekładów Jana Kasprowicza, jakoteż Wielce Czcigodnemu Panu N. Telzowi, właścicielowi Drukarni Narodowej w Krakowie i teź kierownikowi Drogiemu Panu Markowi Schlefrigowi.

Kraków, 30 maja 1931.

WYDAWCA

SPIS RZECZY:

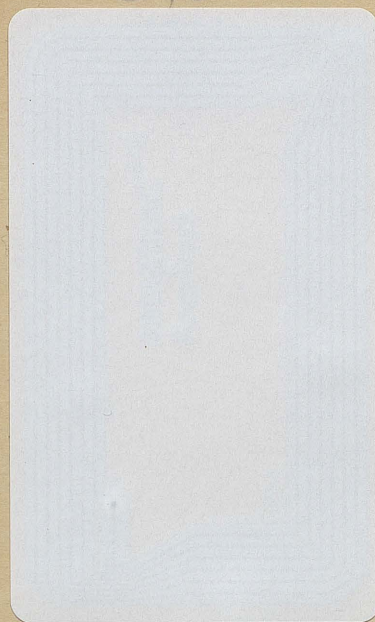
	Str.
Shelley	5
John Keats	56
Barry Cornwall	66
Tomasz Hood	71
R. Browning	75
Alfred Tennyson	79
Swineburne	89

2P12 REBCY

20	John
19	John
18	John
17	John
16	John
15	John
14	John
13	John
12	John
11	John
10	John
9	John
8	John
7	John
6	John
5	John
4	John
3	John
2	John
1	John

10 ii 70

T/xxx 840-



821

Obraz.
poezji

T. 4-5

14340